PRZYCZYNEK
DO HISTORYI KONSTYTUCYJNEJ
KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.

II.
Statut konstytucyjny Księstwa.

(Ciąg dalszy).

Duch nowożytnego porządku *(régime moderne)* panował zatem wszechwładnie i niepodzielnie w statucie z 1807 r., nie potrzebując się wcale liczyć z żywiołami miejscowymi. Kołłątaj nie miał co do tego żadnej wątpliwości, twierdząc, że Napoleon, dając konstytucyę małemu księstwu, przystosował ją zupełnie do powszechnych zasad nowej polityki. Pragnął on przez zastosowanie onej do powszechnych zasad całego imperium zachodniego usposobienia nas, abyśmy się stali godnymi należeć do tej wielkiej oświeconych ludów Rzeczypospolitej [1]. Redaktor wszakże statutu z 1807 r., Maret, starał się uwzględnić właściwości narodowe, zgodne z postępem i z wymaganiami czasu. Bignon zaś nazywa statut z 1807 r. najdoskonalszą ze wszystkich Napoleońskich konstytucyj, a to głównie dlatego, że przewodnie idee nie zostały przeprowadzone z bezduszną surowością, lecz z uwzględnieniem należytem natury społeczeństwa miejscowego i dawnych narodowych tradycyi [2]. Nie bez naukowego interesu będzie więc stwierdzenie tych objawów, które Maret, zarówno jak

[1]) Uwagi nad położeniem tej części ziemi itd., str. 181 i 201.

[2]) Souvenirs d'un diplomate, str. 19 i 20. „De toutes les constitutions que la France dans ses jours de grandeur, à données ou imposées à des nations etrangères peut-être celle de Varsovie a-t-elle été la plus sage, la mieux appropriée au pays, la plus conforme aut intérêts géneraux de l'humanité."

i Bignon, uważali za odstępstwo od Napoleońskich wzorów konstytucyjnych, zwłaszcza, że i nowożytni historycy zagraniczni twierdzili to samo. Ranke, n. p. wykazując, że Napoleon wprowadzał zazwyczaj razem z urządzeniami francuskiemi rewolucyjne hasła i prądy, przyznał wszelako, że bezwzględny zwykle prawodawca okazał tym razem wielkie poszanowanie dla istniejącego w Księstwie porządku [1]). Inny zaś pisarz niemiecki, zastanawiając się nad kwestyą agrarną w Księstwie, oświadczył bez ogródki, że w kraiku tym rozpanoszyła się napowrót dawna gospodarka szlachecka *(Adelsherrschaft)* [2]).

Zarówno Maret, jak i Bignon, uważali zasadniczo statut Księstwa za poczęty z ducha organizacyi cesarstwa z r. 1804. Władza wykonawcza spoczywała w rękach monarchy, który na wniosek rady stanu mógł uzupełnić konstytucyę i prawodawstwo krajowe. Izba poselska skąpą swą działalnością i ograniczoną swobodą poselskiego głosu w komisyach [3]) przypominała cesarski Trybunat. Administracya i sądownictwo otrzymały nawet nazwy francuskie, prawo cywilne zastąpił kodeks Napoleona, a artykuł IV. konstytucyi Księstwa, z którego się Napoleon tak chlubił, da się odszukać we wszystkich prawie statutach organicznych, nadanych przez Napoleona krajom zwyciężonym i czasowo okupowanym. „Tylko najważniejszey, bo życie i wolność osobistą dotykającey części prawodawstwa, to jest prawodawstwa kryminalnego nie dostawało. Równie Process, czyli postępowanie sądowe, kodeks handlowy, policyjny i dokładne zastosowanie sądownictwa do wszelkich działań administracyjnych jeszcze postanowienia oczekują“ [4]).

---

[1]) Ranke: Denkwürdigkeiten des Staatskanzlers Fürsten von Hardenberg vom Jahre 1806 bis zum Jahre 1813, t. IV. str. 96: „Was insofern doch eine Bedeutung für die Ausbildung der revolutionären Ideen hat, als französische Einrichtungen, wiewohl mit grosser Schonung des Bestehenden eingeführt wurden und die ihnen zu Grunde liegenden Begriffe sich weiter Bahn machten.“

[2]) Keil: Die Landgemeinde in den östlichen Provinzen Preussens, str. 77, wyraża się o Księstwie Warszawskiem: „In die alte Adelsherrschaft zurückfallende Polen“ i t. d.

[3]) Porównać artykuły 46, 48 i 49 statutu Księstwa z artykułami, znajdującymi się w Titre XI. (Du Tribunat) Senatus-Consulte organique portant établissement du gouvernement Imperial (18. maj 1804 r.), patrz Laferrière. Les constitutions d'Europe et d'Amerique, str. CIV.

[4]) Mowa (obraz kraju wystawiająca) JW. Łuszczewskiego, Min. spraw wewn., miana na pierwszej sesyi sejmowej w izbie senatorskiej dnia 10. marca 1809 r., str. 8.

Mimo to, zarówno Maret, jak i Bignon, zaznaczyli zgodnie, że statutowi Księstwa zachował monarszy prawodawca przedewszystkiem charakter arystokratyczny. W senacie Księstwa, czyli Izbie wyższej, panował żywioł szlachecki wyłącznie, w Izbie poselskiej na stu posłów sześćdziesięciu należało do szlachty, a czterdziestu zaledwie do niższych stanów, czyli do deputowanych gmin. W rzeczywistości wszakże pierwiastek szlachecki występował jeszcze silniej. Rada stanu łącznie z Radą ministrów w r. 1807 „wchodząc w ducha konstytucyi, która między tymi dwoma stanami (szlachtą i nieszlachtą) nie czyni innego oddziału, jak tylko, żeby osobno sejmikowały, uważa, że podług niej na sejmikach szlachta, a na zgromadzeniach gminnych nieszlachta obierającemi bydź powinni, obranemi zaś tak pierwsi, jak drudzy, wszędzie bez różnicy bydź mogą, wyjąwszy posłów i deputowanych“ [1]. Z powyżej wyrażonej opinii Rady stanu zdawaćby się mogło, że deputowani gminu wybrani być powinni z pośród nieszlachty, tymczasem „Listy posłów i deputowanych“ na sejmy Księstwa w r. 1809 i 1811 obejmują w szeregach deputowanych nazwiska niewątpliwie szlacheckie, gdy tymczasem w rzędzie posłów trudnoby było doszukać się osoby nieszlacheckiego pochodzenia [2].

W roku 1808 znowu Rada stanu „dla zbliżenia tych stanów (szlacheckiego i nieszlacheckiego), które powinny mieć wspólny udział w interesach ogólnego dobra, sądzi, aby koniecznie pewna liczba członków ze stanu nieszlacheckiego umieszczona była w radach departamentowych i powiatowych, a wzajemnie także pewna liczba szlachty w radach municypalnych; tym końcem podaje osobny projekt, iżby przynajmniej trzecia część kandydatów na radzców departamentowych i powiatowych wybraną była z pomiędzy obywatelów i nieszlachty, tudzież na sędziów pokoju w powiatach: Warszawskim,

[1]) Dziennik czynności Rady Ministrów i Rady Stanu, zgromadzoney stosownie do woli J. Kr. Mości przez JW. Hrabię de Schönfeld na sessyi Komissyi Rządzącey d. 5. Październ. 1807 Ses. 108.

[2]) Drukowana liczba posłów i deputowanych z r. 1809 tytułuje posłów JWni, co przy deputowanych jest opuszczonem. Wśród deputowanych Kaliskich gmin figuruje: Pstrokoński, wśród Pułtuskich Laskowski, wśród Łomżyńskich Podbielski. Na liście z r. 1811 są już posłowie i deputowani, obdarzeni tytułem JWnych, a wśród deputowanych spotykamy nazwiska szlacheckie: Zwierzchowskiego, Mioduskiego, Szamowskiego, Bobrowskiego, Łubieńskiego, Rudzkiego, Koźmiana, Raczyńskiego, Kołdowskiego, Wolskiego, Michałowskiego, Radziejowskiego i innych.

Poznańskim, Toruńskim i Kaliskim" [1]). Dekret królewski dozwolił istotnie, aby do rad departamentowych wybierano nieszlachtę, co się jednak tyczy projektu wybierania szlachty do rad municypalnych, to nawet Rada stanu nie uznała go za stosowny [2]). W końcu zaznaczyć należy, że Rada ministrów składała się wyłącznie ze szlachty, w Radzie stanu jedyny Staszic, jak się zdaje, reprezentował chlubnie nieszlachtę, w armii zaś Księstwa olbrzymia przewaga w generalicyi była po stronie szlachty, a w gronie niższych oficerów także po stronie drobnej szlachty [3]).

Przewagę pierwiastku szlacheckiego uważali jednak obaj mężowie stanu francuscy za konieczną w tych okolicznościach, w jakich się znajdowało społeczeństwo świeżo utworzonego państewka. Stanu bowiem miejskiego, czyli tego, którp we Foancyi został nazwany *tiers état*, w Księstwie jeszcze nie było, a przynajmniej nie znajdował się w stadyum pożądanego rozwoju. Lud rolniczy zaś, czyli włościanie, nie zdołali w jednej chwili pozbyć się nawyknień, nabytych w wiekowej niewoli, nie można więc było na razie wyswobodzenia czynić zbyt wygórowanem. Artykuł wreszcie IV. statutu z 1807 r. zapobiegał, zdaniem Mareta i Bignona, temu, aby przewaga pierwiastku szlacheckiego mogła się kiedykolwiek przerodzić w niewolę. Po artykule powyższym obiecywali sobie mężowie stanu francuscy duży wpływ na ościenne kraje, posiadające włościan polskich [4]).

Jakkolwiek Izba poselska wzorowała się na trybunacie cesarskim, to jednak, gdy działalność trybunatu we Francyi zredukowaną została do minimum [5]), w Księstwie Izba poselska stała się drogą pozostałością i wspomnieniem reprezentacyi narodowej, a głosy poselskie w tym małym kraiku były jedynymi, które przerywały abso-

---

[1]) Dalszy ciąg Protokułu Sessyów Rady Stanu w r. 1808. (Od Sessyi 125). Ses. 207.

[2]) Dalszy ciąg Protokułu Sessyów Rady Stanu w r. 1808. Ses. 212 i 221.

[3]) Mémoires du comte de Senfft, str. 153 (wojsko polskie): „Cette brave armée, alors si belle et si brillante, qui de vait son excellent esprit, tant aux qualités de son chef, devenu l'idde du soldat, qu'à cette noblesse d epée nombreuse et pauvre, qui, vraie base de tout état militaire, composait alors un corps d'officiers incomparable."

[4]) Ernouf: Maret duc Bassano, str. 245. Porównać Bignon: Souvenirs d'un diplomate, str. 20.

[5]) Bignon: Souvenirs d'un diplomate, str. 250. „Depuis la supression du Tribunat en France, il n'y avait plus sur le continent d autre tribune politique que celle du duché de Varsovie."

lutną ciszę mocarstw ościennych. Ponieważ posłom nie wolno było zabierać głosu, jak tylko w komissyach, przeto wytworzył się zwyczaj odbywania sessyi nieoficyalnych, na których swoboda głosu nie była krępowaną i gdzie poddawano dyskussyi projekta, krytykowano rząd i zastanawiano się nad potrzebnemi reformami [1]). Wreszcie senat dochował dawne godności biskupów, wojewodów, kasztelanów, a w Księstwie godność senatora uważaną była za wyższą od funkcyonującego ministra, co zadziwiło niepomału Bignona [2]). Maret z Bignonem zgodzili się też mniej więcej na to, że w ówczesnych okolicznościach nie można było Księstwu nadać lepszego statutu, i że, choćby nawet niewłaściwie był uzupełnionym, to i tak rzuconym został przezeń cenny posiew, którego dobroczynnych skutków przyszłość zniweczyć nie będzie w możności [3]).

Niemniej pochlebnego ocenienia doczekał się statut od ówczesnych uczonych i mężów stanu polskich. Kołłątaj w r. 1808, wskazując na trudności, jakiemi krępowani byli prawodawcy sejmu czteroletniego, oświadcza, że wszystkie te trudności (federalizm i anarchia) znikły w obliczu przenikłego dowcipu naszego prawodawcy. Duch prowincyonalizmu upadał na zawsze w tej konstytucyi, każda część ziemi, która kiedykolwiek przyłączy się do Księstwa Warszawskiego, nie będzie więcej dzieloną na prowincye i województwa, lecz na departamenta, które natychmiast wezmą też samą organizacyę. Aby przekonać tych, co pomawiali artykuł IV. statutu o skłonności demokratyczne, że nie mieli słuszności po swej stronie, nie omieszkał Kołłątaj powołać się na powagę Kanta, „filozofa królewieckiego“. Nawet dobroczynny prawodawca, nadając nam swój kodeks, zdaniem Kołłątaja, nie miał na myśli naszego poniżenia, nie odjął nam wolności stanowienia praw, ale nas chciał tylko zbliżyć do jedności z tylu oświeconymi ludami i dać sposób, abyśmy na jednej osnowie pracowali około wydoskonalenia powszechnego prawodawstwa. Wolno nam poprawiać, wolno nam powiększać tę powszechną ludów oświe-

---

[1]) Bignon: Souvenirs i t. d., str. 157—158. „La liberté de discussion inhérente au gouvernement répresentatif se faisait jour à travers toutes les entraves et d'une façon vraiment curieuse.“ Dopóki marszałek przewodniczył sessyom, obserwowano ściśle konstytucyjny regulamin, lecz gdy marszałek sejmu sessyę zamknął, rozpoczynała się druga nieoficyalna: „dans laquelle l'assemblée se dedomageat amplement du role muet auquel alle avait été condamnée.“

[2]) Bignon: Souvenirs i t. d., str. 111.

[3]) Ernouf: Maret duc de Bassano, str. 246 i Bignon: Souvenirs d'un diplomate, str. 20.

conych księgę, a jeżeli okażemy się zdolnymi przydać do niej co pożytecznego, bądźmy pewni, że znajdziemy w tej mierze bezstronnych sędziów i naśladowców. Za wielkie, a może największe dobrodziejstwo uważa Kołłątaj to, że Księstwo pozyskało statut, służący tylko wielkim narodom. Królestwo Westfalskie i Bawarskie w Niemczech, Neapolitańskie we Włoszech nie mają senatu, a Księstwo Warszawskie, które potęgą tym królestwom nie wyrówna, uzyskało od swego prawodawcy senat, podobnie jak królestwo Hiszpanii i Włoskie. Zagadkę, dlaczego nadano Księstwu statut, służący tylko wielkim narodom, rozwiązał Kołłątaj w sposób, usuwający wszelkie wątpliwości. „Xięstwo ma być, zdaniem jego, ziemią obiecaną dla innych części współbratymczych, które Napoleon z rąk przywłaszczycielów pewnie kiedyś odbierze. Tymczasem samo Xięztwo Warszawskie stało się już dla nas nieobojętnem dobrodziejstwem. Wieluż to nie znajdziemy, którzy dla statecznego do swey Oyczyzny przywiązania nie mogą nigdzie indziej znaleźć spokojnego dla siebie przytulenia, mimo ich najskromniejsze zachowanie się: i dla tych Xięztwo Warszawskie stało się już ziemią obiecaną. Wieleż to ochoczey młodzieży nie znalazło pożądaney sposobności ćwiczenia się w sztuce woyskowey, aby się stać mogli podporą swey Oyczyzny i mścicielami jey krzywdy? Wieluż innych nie usposabia się do rozmaitych posług cywilnych, do których sprawowania trzeba będzie kiedyś bardzo wiele zdatnych osób na całe tak rozległe państwo? Xięztwo Warszawskie zdaje się być przeznaczone na pożyteczną w tym względzie szkołę dla pierwszych i drugich. Kraj ten zasłoniony został nietylko od obcey napaści, ale nawet od niebezpiecznego wpływu naszych nieprzyjaciół“ [1]).

Artykułowi IV. statutu, a przedewszystkiem pojęciu równości prawnej, wzbudzającemu najwięcej drażliwości swem ogólnikowem wyrażeniem, poświęcił uwagę Woronicz w podniosłem i głębokiem kazaniu, wygłoszonem dnia 10. marca 1809 r. Wspominając o dawniejszych zamiarach reformatorskich względem włościan, odezwał się Woronicz do słuchaczów temi wymownemi słowy: „Szerzył się ten duch prawdziwego patryotyotyzmu po wielu znakomitych domach i familiach, oczom naszym obecnych, a w ostatnich przedzgonnych czasach cały naród ogniem jego rozgorzał i tak prawo to życiowrotne dla kilkumilionowej rzeszy mądrze przygotował. Ale zostawiona była ta chwała Napoleonowi, aby ten zawiązek ludzkości, w chara-

[1]) Uwagi nad teraźniejszem położeniem tej części ziemi i t. d., str. 181, 203, 205, 201, 69, 185.

kterze narodowym tlejący, godnym siebie sposobem rozwinął i utrwalił, kiedy chcąc mieć nas narodem, na opiekę jego i chlubne sprzymierzeństwo zasługującym, obumarłe roiska ludu, z pewnych i obojętnych widzów martwej dla nich ojczyzny w dzielnych jej miłośników i obrońców wyrokiem niniejszej konstytucyi przeistoczył. Doświadczacie jego na samym wstępie skutków tego zamiaru, spoglądając z radością, że lwy same z taką wściekłością legowisk swoich nie bronią, jak te pracowite mrówki, nadzieją dopiero znalezienia ojczyzny pocieszone, za jej się sławę i całość zastawiają. Zostawiono więc to waszej szlachetności, abyście te nieoswojone jeszcze z nowym bytem niedorostki z pod starszeństwa waszego na chleb własny wyprawując, nie usuwali im tej dobroczynnej opieki, któraby je przyzwoitem oświeceniem, skierowaniem, zapomożeniem do korzystania z niniejszej konstytucyi doprowadziła.“

Wskazując szlachcie obowiązek oświecania i wspomagania włościan, jako pierwszy i najważniejszy z wypływających z miłości kraju i dobrze zrozumianego ducha statutu, Woronicz ostrzega, aby wynikająca z konstytucyi równość w obliczu prawa, opacznie zrozumiana, niedorosłych dzieci o wspólne macierzyste miano nie poróżniła. Woronicz pragnie zażegnać groźne widmo socyalnych waśni miłością chrześcijańską bliźniego, która winna przeniknąć etykę polityczną i przewodniczyć czynom prawego obywatela. „Któż bowiem inaczej tę polityczną i rozumną równość, z rzeczywistą nierównością sił fizycznych, talentów, wychowania, zręcznie pogodzi? Kto dopełni te ogromne przerwy między położeniem, majątkiem, pomyślnością, znaczeniem tych tak daleko odsunionych? Kto ugłaska rozdrażnione chuci i żądze, aby w nędzy i dolegliwości nie rzuciły się na to, co drugiemu, na łonie rozkoszy drzemiącemu, od potrzeby zbywa? O wy! którzy się nie w księgach rozumnych, ale w sercu człowieka niepomylnego rozumu uczycie, miejcie rozum i pobaczenie, aby ten język do reszty między wami nie zaginął, który jeden mocny jest przekonać Łazarza, przed bramą bogacza na śmieciu leżącego, aby swą nędzę miłował i bogaczowi losu jego nie zajrzał, który jeden zdolny jest tę nierówną równość tak trafnie i ściśle porównać, aby dla porządku i dobra ogólnego brat bratu należnego sobie miejsca ustąpił, a słuchał i szanował tego, któremu rozkazywać może, ten język nakoniec, który jest w stanie natchnąć czarodziejskie posłuszeństwo swym cegiełkom w kształcie i naturze równym“ [1]).

[1]) Woronicz: Pisma rozmaite. Kraków 1832 r. Kazanie przy pierwszem otwarciu sejmu głównego Księstwa Warszawskiego, 10 marca

Wybicki nazwał konstytucyę Księstwa „bardzo stosowną do czasu i reprezentacyi samowładności krajowej charakter mającą“ [1]), a Stanisław Małachowski, ten sam, który doradzał, aby proszono Napoleona o powrócenie Konstytucyi 3. maja, w pierwszem swojem przemówieniu, jako prezes senatu, nazwał statut Księstwa mądrym i, spełniając życzenia kolegów, prosił monarchy o pozwolenie ucałowania dobroczynnej jego ręki, jak tego dawny zwyczaj polski od senatorów, zajmujących po raz pierwszy swoje miejsce, wymagał [2]). Ciekawym jednak ze wszech miar jest pogląd na statut z r. 1807 posła Maryampolskiego, Godlewskiego, wyrażony w r. 1811, gdy tenże poseł stał na czele opozycyi rządowi. Bignon opisuje, że nawet książę Józef Poniatowski nie mógł wybaczyć Godlewskiemu surowej krytyki, jaką zastosował do wszystkich instytucyj Księstwa, i że w chwili podrażnienia oświadczył mu wprost, że zasłużył sobie na dekoracyę od cesarza Aleksandra I. [3]), a Niemcewicz, stwierdzając fakt, że się Godlewski stał człowiekiem publiczności, dodał z widocznem uprzedzeniem: „Byli, którzy go mienili być narzędziem kilku u nas Kancistów, którzy zyskowne posiadający miejsca, że w Królewcu filozofii Kanta słuchali, mając wszystkich za głupich i najwyższe miejsca za sobie tylko winne uważają“ [4]).

Otóż ten mąż pracujący na korzyść nieprzyjaciół, ten Kancista, uważający wszystkich za głupców, nazwał statut z r. 1807 świętym, a źródło złego upatrywał w niedostatecznem a często błędnem jego rozwinięciu. Nadał nam bohatyr świata i mądry prawodawca statut konstytucyjny, są słowa Godlewskiego, zapewnił wolność i bezpieczeństwo mieszkańców przez gruntowne dla tego w ogólnych zarysach przepisane zasady, aby one do naszego charakteru i ducha, do położenia i okoliczności kraju zastosować łatwiej można było. Potrzebę nawet tego w art. 86 statutu wskazał. Dowiódł aż nadto, jak nas chce uszczęśliwić i do tego wystarczającą podał sposobność. Wyłożywszy zarysy główne statutu konstytucyjnego, przemawia Godlewski

---

1809 r. Str. 184 i 196. — Kazanie powyższe wyszło z drukarni rządowej w tłómaczeniu francuskiem Tęgoborskiego, p. t.: „Discours prononcé dans la Cathédrale de Varsovie lors de l'ouverture de la première Assemblée nationale du Duché de Varsovie.

[1]) Pamiętniki, t. III., str. 161.

[2]) Rede S. Exc. des Hern Grafen Stanislaus von Małachowski, Praesidenten des Senats, bey Eröffnung der ersten Senatssitzung den December 1808

[3]) Souvenirs d'un diplomate, str. 161.

[4]) Pamiętniki Juliana Ursyna Niemcewicza 1811—1820, t. I., str. 288—289.

w następujący sposób: „Mógł-że jeszcze co więcej dla uszczęśliwienia nas postanowić dobroczynny nasz wskrzesiciel? Możnaż doskonalszego, w takim rzeczy stanie i widoku, żądać statutu? trzebaż było przy energii i miłości ojczyzny mieszkańców więcej sposobności wybranym od monarchy do styru rządu dla uczynienia kraju w miarę okoliczności mężnym i rządnym. Czy trzeba lepszej łatwości dla założenia fundamentów do przyszłego szczęścia i pomyślności, dla zobowiązania sobie mieszkańców i dla unieśmiertelnienia ich sławy? Niestety! znaleziono w tym świętym statucie trudności do zaprowadzenia jasnej, prostej, dla mieszkańców dogodnej i do bogactwa kraju stosownej administracyi, a upatrzono potrzebę, czy obowiązek naśladowania rządów państw wielkich i bogatych, do przejmowania od nich różnych cząstkowych urządzeń, składających machinę, której ani części między sobą i ogółem, ani ogółu ciężar z siłą, która go poruszać ma, nie są w stosunku“ [1]). Słowa powyższe będą dostatecznemi, aby przekonać każdego o tem, z jaką czcią pozostawał Godlewski dla statutu i że groty opozycyjne wymierzał jedynie przeciwko nieudolnemu w wielu razach jego rozwinięciu i wykonaniu.

Pozostaje jeszcze jedna uwaga do uczynienia, a mianowicie, jak się na statut z 1807 roku zapatrywali współcześni deputowani gmin i czy ich przewaga szlachty w organach reprezentacyjnych nie drażniła lub nie odstręczała od brania udziału w życiu publicznem. Dowodu niechęci albo przeświadczenia o poniżeniu swego stanu, nie zdołałem odszukać wśród dokumentów, odnoszących się do powyższej doby; za to spotkałem się z drobnymi wprawdzie śladami, stwierdzającymi, że reprezentanci gminu byli z statutu zadowoleni w głębi serca. Ignacy Stawiarski w mowie swej, po wykonaniu przysięgi na urząd obywatela prezydującego zgromadzenia politycznego gminy 5 miasta Warszawy, wspominając „sławne prawo o miastach i Konstytucyę 3. maja“, nadmienia, że „ulubiany od nas Fryderyk August, w pierwszych chwilach swego panowania bacznym okiem mierząc potrzeby kraju, różnemi klęskami dotkniętego, myśl konstytucyi dopełniając, zwołuje swe dzieci, prawo obywatelstwa i głosu na obradach publicznych mające, aby się zgromadziwszy w świątyniach i t. d., ojcowski jego tron otoczyły“ [2]). W całem powyższem przemówieniu niema nawet cienia drażliwości, a zdobywa

---

[1]) Głosy posła Maryampolskiego, na sejmie roku 1811 w Warszawie miane, z dołączeniem uwagi i krótkiego nadmienienia niektórych w czasie sejmu czynności, str. 35, 36.

[2]) Mowa z d. 23 miesiąca stycznia 1809 r. (druk Bibl. Ord. Kr.).

wiarę każdego zapewnienie, że „szczęśliwym jest lud, który w jednomyślności z królem, uważając w nim więcej ojca, niż pana, umie łączyć ufność synowską z posłuszeństwem, a wdzięczen udziału swobód i troskliwej pieczy, jakiej używa pod dobroczynną strażą prawa, odpowiada nieskażoną wiernością i ścisłem pełnieniem prawideł podległości, do jakiej go wiąże konieczna potrzeba towarzyskiego porządku obrony i całości.“ Andrzej Brzeziński znowu, obywatel prezydujący, w mowie mianej na zgromadzeniu gminy siódmej, wskazując, jak doniosłem jest stanowisko deputowanego na sejm i członków rady municypalnej, oświadczył, że przy wyborach „idzie tu nakoniec o honor stanu nieszlacheckiego, który tak biernym będąc, dopiero darem konstytucyi naszej za stan uznanym został. Tak ważne przedmioty powinny nas jednomyślnie unieść do obrania deputowanego, którýby za nich wszystkich stał się godnym reprezentantem gminu naszego“ [1]).

Z późniejszych historyków, którzy jednak przejęli żywą tradycyę Księstwa, Skarbek ocenił statut z 1807 r. szczegółowo i trafnie. Napoleon, zdaniem jego, nadawał krajom przez siebie utworzonym konstytucye, na jednakowych przez siebie umyślonych i widokom swoim odpowiednich zasadach oparte. Taka konstytucya i Księstwu Warszawskiemu nadana, jakkolwiek daleka od prawdziwych swobód narodowych, była jednakże powołaniem biernych dotąd poddanych pruskich do spraw krajowych i do nowego życia politycznego. Była ona nowym zupełnie utworem, w niczem do układu dawnej Rzeczypospolitej niepodobnym, lecz przywracała ludziom, z wszelkich praw obywatelskich wyzutym, niejaki udział w sprawach pospolitych i użycie języka narodowego w tych sprawach i nadawała prawa, jeżeli nie krajowe, to przynajmniej nie te, pod któremi za rządu pruskiego zostawali. Dalej oświadcza Skarbek, że kształt i układ wewnętrznego rządu Księstwa nie był w niczem podobny ani do dawnego zarządu Rzeczypospolitej, ani do administracyi pruskiej. Był to systemat francuski z całą sprężystością postępowania i bezwarunkową uległością podrzędnych ogniw najwyższej władzy w wykonaniu każdego jej rozkazu, bez względu na to, czy ten rozkaz zgodnym był z prawami narodu i z obowiązującemi ustawami. Był to rząd centralny, w którym każde rozporządzenie niższych władz wykonawczych jest tylko wypływem władzy najwyższej, gdzie wszelka samoistna wola i siła w jednym punkcie jest skoncentrowana, aby stamtąd wychodzącym z nich odnogom działalność nadać i według

[1]) Mowa miana d. 31. stycznia 1809 r. (druk Bibl. Ord. Kr.).

woli swojej kierować mogła niemi. Rząd, za pomocą którego Napoleon samowładnie milionami ludów rządził, zamienił wszystkich urzędników kraju, począwszy od ministra aż do ostatniego dozorcy policyjnego, w ślepe narzędzia woli swojej [1]).

Niewątpliwie jedną z największych zalet statutu z roku 1807, zauważonych już przez Skarbka, była ta okoliczność, że wstępował w miejsce rządów pruskich. Kołłątaj dostrzegł, że „w krajach, które się dostały pod panowanie Austryi, wykorzeniono do szczętu prawidła polskiego wychowania; w krajach, które się dostały królowi pruskiemu, postąpiono podobnie, muzy polskie ledwie znalazły przytułek dopiero pod panowaniem Aleksandra I., gdzie obywatele, ośmieleni wezwaniem tego dobrego monarchy, niczego nie oszczędzali, aby ich potomstwo mogło iść drogą ojców do cnoty i oświecenia" [2]).

Daleko silniej napiętnował Staszic skryte zamiary i dążenia rządu pruskiego. „Celem poprzedzającego rządu, jak twierdzi, nie było dobro Polskiego Narodu, tylko szczęście nachodniów i przeistoczenie rodaków. Krajowi wysłużeni, bądź wojskowi, bądź cywilni, w ostatniej nędzy; cnotliwi w prześladowaniu, po cudzych ziemiach tułacze. Jak Spartańczykowie Ilotów, tak na wojnę i boje prowadzono Polaków. Tam krew naszą nie rachowano za krew ludzi; nic ze zwycięstwa, nic ze sławy nic spadało na nas, ale tylko na gwałtowników naszych."

„Najprzewrotniejszą chytrości rządzenia sztuką dążono do wyzucia nas z Polaka duszy, a zdradliwem długów chciwości i marnotrawstwu, zamierzono wyzuć nas z majątku i Polskiej ziemi. Rodzice, którzy w każdej innej krainie, spoglądając na swoje dzieci, najmilszą kwilą się rozkoszą, tu przeciwnie, podczas niewoli naszej, za każdem na swych dzieci spojrzeniem głęboki smutek ogarniał ojca i matki serce, a łzy zalewały oczy, gdy widzieli te równie z życiem miłe im stworzenia, bez celu, bez wszelkiego dla nich widoku."

„Na polskiej ziemi nie było dla Polskich dzieci żadnego stanu, żadnego przeznaczenia! W dobrem, w rodowitem wychowaniu wi-

---

[1]) Dzieje Polski. Część I. Dzieje Księstwa Warszawskiego, str. 132 i 139. Porównać Żółtowski: Die Finanzen des Herzogthums Warschau (1806—1815) vorzugsweise nach archivalischen Quellen bearbeitet. Część I., str. 15, 29, ocenia tak, jak Skarbek, konstytucyę Księstwa i jego administracyę.

[2]) Uwagi nad teraźniejszem położeniem tey części ziemi i t. d., str. 207 i 208.

dział każdy ojciec zwiększenie tylko nieszczęść swych dzieci życia; w Edukacyi Rządowej odbierał w swych dzieciach nieprzyjaciół i wzgardzicieli swoich przodków i rodziców. Tak jest, starano się, pracowano, aby dzieci nasze, niewinne ofiary oszukaniem otoczyć, przenaturzyć, w wyrodnych synów przemienić. Chciano, aby po grobach swych ojców, jeżeli nie z zupełną niepamięcią, to przynajmniej syny oszukane deptały je z pogardą. Chciano naszę i naszych dzieci kraju miłość wraz z ojczyzną na wieki w jednym zagrzebać grobie.

„Jeden tylko jeszcze pozostawał nam środek do wydobycia się z tej okropnej nocy, która ogarnęła jestestwo nasze: tem były władze rozumu, nauki narodowe, doskonalenie myśli narodowych, przez które przecież jeszcze byłoby się można jakożkolwiek mieścić w rzędzie żyjących: przynajmniej ocalić sławę i pamięć narodu od zguby wiecznej. Lecz zbytnie na wszystko czuwali nieprzyjaciele, którzy podstępem wytrąciwszy nam z rąk oręż, podstępem nas ujarzmili. Nie mając mocy do wydarcia nam władzy myślenia, czuwające przeciwko jej użyciu zakładali tamy. Swego rozumu władzą i czynnością w doskonaleniu się na naszej ziemi wszędzie nas zastępując, obmyślali nam nauczycieli, wyznaczali wzory, przepisywali nauki. Lecz ani ci uczyciele, ani te wzory, ani te nauki, narodowemi nie były. Owszem, przez nie prawdziwą Polaka cnotę przemieniano w zbrodnię, naszą krzywdę w sprawiedliwość, na naszej ojczyźnie zdziałane gwałty w prawo i w ludzkość. Na własnej naszej ziemi obcą nam pieśń nucić kazano“ i t. d. [1]).

W roku 1812 Klewitz starał się obronić rządy pruskie od licznych zarzutów i nienawistnego wspomnienia, jakie pozostawiły po sobie. Zapewniając, że rozumie dobrze, jakie musiały panować uczucia wśród społeczeństwa po utracie kraju, zapytuje: *Ob nicht dafür der Segen der wohlwollenden Regierung Sie entschädigte?* Z tem wszystkiem jednak, gdy przychodzi mu dowieść, że rząd pruski żywił poszanowanie dla miejscowego języka, zwłaszcza w szkole, obrona staje się słabą i popierać ją był w stanie zaledwie błahymi przykładami [2]).

Najlepszy dowód, czem była szkoła za pruskich czasów, składa Izba edukacyjna Księstwa w swym raporcie z r. 1808, oświadczając:

---

[1]) Do sejmu w roku 1808. Dzieła Stanisława Staszica, t. IV., str. 7, 8 i 9.

[2]) An die polnische Nation. Ueber die preussische Verwaltung in den ehemaligen Süd- und Neu- Ost-Pressen. Berlin 1812. str. 27 i str. 11, 28.

„Należy oddać sprawiedliwość rządowi pruskiemu, że władzę swą i moc nie chciał opierać na nieświadomości podległego sobie narodu. Przeciwnie oświecenie wszystkich klas było zadaniem jego polityki, chociaż uważał ją za środek do osiągnięcia rezultatów wrogich dla naszej narodowości. Język ojczysty wyrugowano też ze szkół, nauczycieli sprowadzano obcych, ale szkoły istniały przynajmniej, a na ich pochwałę można było i to przytoczyć, że stan zakładów naukowych w krajach po-austryackich był bez porównania gorszy“ [1]).

W każdym razie raport izby edukacyjnej oświadcza, co następuje: „czyli zamiar przeistoczenia narodu jest podobnym, nie tu miejsce rozwagi. Pewną jest rzeczą, iż ten duch wydawał się we wszystkich edukacyjnych tego rządu (pruskiego) ustawach. Ten cel okazywał się nawet w zaprowadzeniu szkół dla ludu: w ustawie ze wszech miar chwalebnej i pożytecznej, której jednak uskutecznienie z tem większą przychodziło trudnością i oporem, że lud, nie pojmujący jeszcze pożytku, zaczął od powzięcia wstrętu ku naukom, dawanym od nauczycieli cudzoziemców“ [2]).

Mimo jednak tylu przeszkód we wszystkich rozszarpanej Polski częściach, młodzież nasza, jak twierdził Kołłątaj, ochronioną została; troskliwi rodzice starali się przelewać w nich cnoty i obyczaje narodwe, pilnie przestrzegając, aby następujące po nich pokolenie nie przetwarzało się na lud własney oyczyźnie obcy. W Warszawie utworzyło się zgromadzenie przyjaciół nauk, które gorliwie pracowało nad uratowaniem literatury polskiej. Nigdy prawie nie smakował tyle Polak w dziełach swych własnych pisarzów, jak gdy widział zgubione imię swey oyczyzny, chcąc przez to dowieść, że tę przynajmniej narodową własność, mowę oyczystą, pragnął wiernie dochować dla późnych pokoleń, jako jedyny skarb, który w tak powszechnem rzeczy naszych zatraceniu dał się jeszcze uratować“ [3]).

Drugie dobrodziejstwo, którem statut darzył Księstwo, wypływało z artykułu 84: *Tous les actes du gouvernement, de la legislation, de l'administration et des tribunaux sont écrits en langue nationale.* Artykuł powyższy został wykonany przez panującego

[1]) Konic: Kartka z dziejów oświaty w Polsce. Władze oświecenia publicznego i oświata elementarna w Księstwie Warszawskiem. Str. 7, 8, 10 i 12.

[2]) Lipiński: Sprawa z pięcioletniego urzędowania Izby edukacyjnej, str. 8.

[3]) Uwagi nad teraźniejszem położeniem tej części ziemi polskiej i t. d., str. 208.

z całą skrupulatnością i wprowadzony do komendy wojskowej [1]), do obrad rady stanu, w których nawet sam panujący brał udział, a Koźmian przytacza następujące charakterystyczne zdarzenie: „gdy który z radzców stanu, chcąc być lepiej zrozumianym przez króla, wpadł w rozprawę językiem francuskim, co się najczęściej Kochanowskiemu trafiało, król przerywał, mówiąc: Proszę po polsku, bo pan Rządkowski nie rozumie" [2]). Niewątpliwie też sumiennemu wykonaniu powyższego artykułu zawdzięczało Księstwo owo szybkie odrodzenie się ducha narodowego, które nie uszło uwagi Klewitza i pozyskało nawet jego gorące uznanie [3]).

Trzeciem dobrodziejstwem statutu z r. 1807 był artykuł 86, pozwalający ustawę konstytucyjną dopełniać urządzeniami, wychodzącemi od krola a roztrząsanemi w jego radzie stanu. Dzięki temu artykułowi, niechęci wszelkie omijały statut, a skierowywały swój prąd przeciw tym, których zadaniem było uzupełnienie konstytucyi. Ale i w tym wypadku oszczędzano monarchę, szanowanego i lubianego za najlepsze dla kraju chęci, a pociski opozycyjne zwracano przeciw ministrom i radzie stanu.

Łuszczewski w pierwszem swem przemówieniu na sejmie 1809 r. nazwał statut Księstwa niewzruszalną opoką, na której się powinno rozwijać przyszłe prawodawstwo [4]); ale ani przed rokiem 1809, ani po tymże roku nie poczuwali się ministrowie wraz z radą stanu do obowiązku ślepego naśladownictwa wzorów francuskich, a król zazwyczaj przychylał się do ich zdania. „Gdy w r. 1807 referendarz Morawski czytał wywód, z konstytucyi francuskiej wyciągnięty, na okazanie do konstytucyi Księstwa Warszawskiego potrzeby audytorów w Radzie, Xiążę Minister wojny, wystawiając niemożność zachowania we wszystkiem stosunków konstytucyi francuskiej, sądził naśladować ją tylko w ogólności, a nie w szczegółach, które dla różnicy położenia, obszerności, ludności i zwyczajów nie mogą przypadać równie jednemu, jak i drugiemu krajowi" [5]). W roku 1809, gdy Minister policyi zauważył, że korporacye nie są statutem Księstwa

---

[1]) Skarbek: Dzieje Polski. Część I. Dzieje Ks. Warszawskiego. Str. 137: „lecz gwardya i pułki legii nadwiślańskiej nosiły kokardy francuskie, w legii komenderowano po polsku, w gwardyi po francusku."

[2]) Pamiętniki, t. II., str. 339.

[3]) An die polnische Nation i t. d., str. 55.

[4]) Mowa (obraz kraju wystawiająca) i t. d., str. 5.

[5]) Dziennik czynności rady ministrów i rady stanu zgromadzonej do woli J. K. Mości przez JW. hr. Schönfelda, na sessyi komissyi rządzącej d. 5. października 1807 r. Str. 45.

zniesione, a konstytucya francuska przepisuje, że istnieć nie powinny, wyrażono w radzie stanu opinię, że należy w Księstwie uważać korporacye za istniejące i oczekiwać dekretu królewskiego [1]). W tymże samym roku, gdy podano projekt mianowania merów na kilka miasteczek, którzyby rozkazy podprefektów komunikowali burmistrzowi, Najj. król oświadczył, że przez kompletowanie konstytucyi rozumie dodanie szczegółów, ale dalekim jest od odmieniania tejże i projekt natrafił na opozycyę słuszną z tego względu, że był tworzeniem zbytecznem nowej zupełnie władzy [2]).

Ministrowie z radą stanu potrafili domagać się zastosowania konstytucyi francuskiej, jeżeli tylko z tego naśladownictwa korzyść dla Księstwa powstać mogła. Tak n. p. w r. 1808 prezes rady stanu „wniósł, aby przełożyć Najj. Panu, ażeby senat Księstwa mógł być podobny, czynną władzą, jak jest podług konstytucyi francuskiej i nowo ogłoszonej hiszpańskiej, t. j. aby miał opiekę nad wolnością osobistą mieszkańców i nad wolnością druku, oraz żeby składał najwyższy sąd do sądzenia ministrów i radzców stanu [3]). Jeżeli jednak odstąpienie od zasad przewodnich prawa państwowego lub administracyjnego francuskiego obiecywało Księstwu większe pożytki, rada stanu nie wahała się czynić panującemu odpowiedniego przedstawienia, a nawet w kierunku oświaty publicznej udało jej się osiągnąć pomyślny rezultat.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Aleksander Rembowski.

---

[1]) Protokoły posiedzeń rady stanu Księstwa Warszawskiego, odbywanych w przytomności Najj. Pana. Sessya d. 3. marca 1809 roku. (Tom ten niekompletny rozpoczyna protokoły jeszcze w r. 1808).

[2]) Dalszy ciąg Protokołu sessyów rady stanu w roku 1809 od sessyi 246. S. 258.

[3]) Dalszy ciąg Protokołu sessyów rady stanu w roku 1808. Sessya 165.

INFAMIA.

STUDYUM PRAWNO-SPOŁECZNE.

(Ciąg dalszy).

IV.

Cześć w prawie dzisiejszem.

Na czem polega istota czci? Pytanie to powinnoby być w dzisiejszej jurisprudencyi stanowczo rozwiązane, jeżeli pozytywizm prawny nie dla przechwałki tylko, lecz na seryo utrzymuje, że prawo paragrafowe samo o własnych siłach, więc niezależnie od czynników moralnych, może spełniać swoją missyę cywilizacyjną i wywiązywać się z kierującej roli w stosunkach życia społecznego. Przecież takiego dobra moralnego, jakiem jest i będzie zawsze cześć, prawo pozytywne niemoże wyłączyć ze swojej sfery bez abdykacyi z własnej missyi cywilizacyjnej a jeżeli bierze i wziąć musi to dobro moralne w ochronę i rachubę swoją tak samo, jak inne dobra materyalne i moralne, to chcąc dać społeczeństwu zupełną rękojmię, że na jego siłach bezpiecznie polegać może, powinnoby kwestyę powyższą dokładnie rozwiązać. Nie chodzi tutaj o rozwiązanie, ujęte w ścisłe ramy paragrafowo-definicyjne, lecz o takie niewątpliwe kryterya, jakich prawo pozytywne niezbędnie potrzebuje w każdej akcyi swojej dla wyboru trafnej drogi i środków, celowi odpowiadających.

Wprawdzie także i pojęcie zdrowia fizycznego nie jest ujęte w ramy paragrafowo-definicyjne, ale jeżelibyśmy, wyprzedzając niejako dalsze wywody, nazwali cześć wyrazem zdrowia moralnego, to nietylko nie byłoby w tem żadnej analogii korzystnej dla wygórowanych aspiracyi prawa pozytywnego, lecz owszem na zestawieniu tem właśnie najlepiej uwydatniałaby się różnica zasadnicza. Zdrowie fizyczne bowiem, jako stan normalny, każdemu dobrze znany, jako

reguła jednakowa i niewzruszona, odkąd świat i człowiek istnieje, nie potrzebuje bliższych określeń definicyjnych w prawie a każde najmniejsze nawet zboczenie od tego stanu normalnego daje się sprawdzić *lege artis*, fachową dyagnozą rzeczoznawców, więc w sposób niewątpliwy. Gdzie niema żadnego takiego zboczenia, żadnej anormalności, tam jest zdrowie fizyczne, jest stan normalny, jest reguła. Zupełnie niepodobna jest sytuacya w moralnym ustroju człowieka. Z reguły moralnie ułomnym jest człowiek, bo jest — tylko człowiekiem. Do jakiego stopnia ułomność ta w religijno-moralnem wychowaniu daje się złagodzić i czy zawsze to jest możliwem a kiedy ona nawet mimo wszelkiej staranności wychowawczej występuje w życiu dojrzałego już człowieka na jaw w formie rażącej, często nawet aż ohydnej, bo zbrodniczej, kiedy dobre, w wychowaniu i w życiu udoskonalone przymioty i cnoty są w stanie, utrzymać przywary i namiętności na wodzy tak, że się ta wrodzona ułomność tylko przypomina, jakby ostrzeżenie i napomnienie do nieustannej czujności, a kiedy ona wybuja i całą nieposkromioną siłą złych instynktów i popędów zepchnie człowieka na bezdroże, to szereg zagadnień niedocieczonych dla najbystrzejszego obserwatora, to szereg kwestyi, które nie rozwiązać, lecz tylko mniej lub więcej odgadywać, lub objaśniać można.

Nadto w zdrowiu fizycznem zboczenie ukryć się nie daje, bo jego symptomy są dla znawcy dostrzegalne i sprawdzone być mogą po zewnętrznych objawach. Zdrowie moralne w tem względnem znaczeniu, jakie wynika z powyższych uwag, stanowi zagadkę, dla której żadna fachowa wiedza naprzód reguł postawić niemoże, bo do moralnego wnętrza człowieka, do tej ukrytej widowni, na której przed działaniem, więc przed nadaniem woli kierunku, ścierają się ze sobą złe i dobre intencye, nizkie namiętności i szlachetne porywy, najbystrzejsze nawet oko psychologa nigdy nie dotrze. Czy człowiek jest zdrów fizycznie, to zbadać można nawet wtedy, gdy on jest bezczynny, gdy siły zupełnie wypoczywają a niepotrzeba nawet oka rzeczoznawcy, jeżeli siły te w działaniu składają dowód jędrności i energii. Co wart pewien człowiek pod względem moralnym, czy jest zdrów w takim stopniu, w jakim to jest możliwem dla człowieka, tego w stanie bezczynności nikt nie odgadnie po żadnym symptomie w oko wpadającym a samo działanie nawet nie daje jeszcze pewnych kryteryów dla trafnego sądu. Gdzie niema zdrowia fizycznego, tam niemożliwe jest wytężenie sił i energii po za pewną miarę przeciętną a gdzie niema zdrowia moralnego, tam jeszcze przy zręcznej symulacyi możliwe jest w danym razie obałamucenie najbystrzejszych nawet obserwatorów. Wszakżeż, niestety, tak

często słyszy się o nikczemnikach, którzy przewrotność swoją umieli długo ukrywać pod pozorami uczciwości a nawet i szlachetności. Czasem przypadek pomięsza szyki w takiej zręcznie odgrywanej roli, ale jak często odsłania się cała prawda przed zdumionem otoczeniem dopiero wtedy, gdy niema już takiego kuglarza na widowni życia!

Jeżeli, jak to już powiedzieliśmy, cześć uważać należy za wyraz moralnego zdrowia, to po tem wszystkiem chyba już na szyderstwo zakrawałoby powtórzenie wstępnego pytania pod adresem prawa pozytywnego z żądaniem, ażeby odpowiedź jego opiewała stanowczo i jasno. To też prawo pozytywne nie daje i dać niemoże takiej odpowiedzi a teorya, tak niewyczerpana w pomysły, gdy w innych działach chodzi o zasłonięcie luk paragrafowych przed okiem badawczem, w tej kwestyi właśnie najczęściej przyznawać się musi do faktu, że ją tutaj zawodzi cała pomysłowość.

Zarzut ten, teoryi uczyniony, objaśnić można na jej najświeższych wysileniach około uporania się z tym trudnym tematem. Wysileń tych jest w tej chwili może więcej, niż kiedykolwiek, a nie mamy tutaj na myśli tylko komentarzy do poszczególnych kodexów karnych, lecz specyalne monografie, poświęcone sprawie czci i jej osłony w prawie. Sama ta obfitość produkcyi naukowej daje do myślenia, bo jak człowiek zawsze najwięcej myśli o tym właśnie organie, na który nie domaga i który mu dokuczliwemi cierpieniami na każdym kroku się przypomina, tak teoretycy w zakresie jurisprudencyi zdają się mieć powody podobnej natury do zwracania szczególnej uwagi na sprawę czci. Chodzi widocznie o słaby punkt prawa pozytywnego. Szczersi autorowie nie ukrywają tego zresztą wcale, lecz owszem uważają jawne odsłonięcie złego za pierwszy a konieczny krok do poprawienia obecnego stanu.

Nie myślimy dawać szczegółowego obrazu tej całej konsultacyi naukowej, w której zdania ciągle się krzyżują. Ale pogląd krótki, streszczający przynajmniej niektóre wybitniejsze głosy, jest potrzebny, aby poznać sytuacyę i horoskop na przyszłość a przedewszystkiem przekonać się, czy prawo pozytywne jest tylko zakłopotane trafnym wyborem środków już rozporządzalnych a wiodących pewnie do celu jasno określonego, lub przeciwnie zaniepokojone tem, że myśleć trzeba nie o wyborze między skromnemi i niedostatecznemi środkami dotychczasowemi, lecz o wyszukanie innych.

Szczególnie bieżąca niemiecka literatura prawnicza dostarcza ciekawego materyału pod tym względem. Jest ona w traktowaniu czci, jej istoty, znaczenia i osłony prawnej w tej chwili może buj-

niejszą, niż kiedykolwiek. Na pozór mogłoby się wydawać, że trudności są łatwe do przezwyciężenia. Z tonu rozpraw tych bowiem przebija więcej, niż w innych kwestyach prawnych, owo w niemieckim świecie prawniczym jakby jaki dogmat narodowo-naukowy utarte mniemanie, że z dwóch wielkich źródeł dzisiejszej cywilizacyi: prawa rzymskiego i prawa niemieckiego drugie ważniejszą spełniło missyę w historyi postępu ludzkości. To też powtarza się przytem przechwałka, że w prawie rzymskiem cześć *(existimatio)*, wciśnięta w ramy prawa obywatelstwa *(civitas)*, niejako za synonim tego prawa uchodząca, nie wznosiła się na należną jej wyżynę etyczną a dopiero niemieckie prawo pogłębiło pojęcie czci, biorąc w jego określeniu za punkt wyjścia nie samo tylko obywatelskie stanowisko jednej klasy ludności, panującej w wielkim związku państwowym, lecz godność ludzką w ogóle w połączeniu ze świadomością wartości moralnej i społecznej. W tej przesadzie jeden z autorów niemieckich posuwa się tak daleko, że zapominając formalnie o odmiennym ustroju stosunków społecznych, odmawia po prostu rzymskiemu społeczeństwu nawet wrażliwości na podlegające dziś sankcyi karnej akta obrażenia czci i nazywa to aż „właściwością Rzymian“ [1]), więc właściwością tego społeczeństwa, w którem rumieniec wstydu, wywołany naganą cenzorską, sprawiał prawdziwe tortury moralne, w którem obywatel, dotknięty tą naganą według poprzednio już przytoczonych słów Cicerona, stronić musiał od współobywateli, jakby jaki człowiek zapowietrzony. W merytoryczną polemikę z powyższem twierdzeniem wchodzić nie potrzebujemy, skoro już w poprzednim rozdziale skreśliliśmy w zarysie rzymskie pojęcia o czci *(existimatio)*. Jeżeliby zaś tylko nieznajomość dzisiejszych wykwintnych form i manier salonowych a także i idącej z niemi w parze maskarady pojedynkowej miała uzasadniać powyższy zarzut braku wszelkiej wrażliwości na obrazy czci w staro-rzymskiem społeczeństwie, to z taką samą racyą mógłby chyba kto powiedzieć, że starorzymska rasa była pozbawiona wrażliwości nerwów w ogóle, gdyż nawet patrycyusze obchodzili się bez — czarnej kawy, cygar hawańskich i morfiny!

Gdy się czyta podobne sądy o prawie rzymskiem, to należałoby oczekiwać, że w dzisiejszem prawie niemieckiem, skodyfikowanem w drugiej połowie XIX. stulecia, pojęcie i prawna osłona czci stanęły już na idealnej wysokości. Tymczasem potrzeba tylko wziąć

[1]) Dr. Joseph Gabler: *Das Vergehen der sogenannten üblen Nachrede* — Würzburg 1892, str. 4.

do ręki pierwszą lepszą z licznych monografii, które się obecnie na ten temat pojawiają, aby od razu uprzedzić się właśnie do tego działu prawa. „Jeden z tych rozdziałów prawa karnego — mówi n. p. Kratz [1]) na samym wstępie swojej monografii — które w naszym kodexie karnym najwięcej traktowane są po macoszemu, stanowią postanowienia o czci i obrazie czci. Luki, które pod tym względem wykazuje nasze dzisiejsze prawo tak samo jak nasze partykularne ustawy karne z bieżącego stulecia, są tem dotkliwsze, ileże teorya i judykatura nie mogły się pogodzić ze sobą nawet co do pojęć podstawowych. Tyczy się to przedewszystkiem samego pojęcia czci. Swoją drogą jednak niema w prawie karnem pojęcia, którego ustalenie byłoby z wielu powodów tak trudne, jak właśnie pojęcie czci.“

Przytoczyliśmy ten głos nie dla dowodu, lecz dla przykładu a właściwie dla charakterystyki stanu rzeczy. Zdanie, wypowiedziane przez Kratza, powtarza się w ogóle w monografiach niemieckich o czci z tą tylko różnicą, że autorowie z żywszym temperamentem pisarskim nie oceniają obecnej sytuacyi tak spokojnie, lecz mówią o niej z taką goryczą, często nawet z takiem oburzeniem, jakgdyby uważali stan obecny za niegodny współczesnego ustawodawstwa.

W systematycznych wykładach obowiązującego niemieckiego prawa karnego czyta się to samo w formie ubolewania lub nawoływania do pilnej reformy, przyczem odbywają się popisy konstrukcyjne, w których luki i niejasności pozytywnego prawa karnego są niejako dla oka zasłaniane. Konstrukcye te opierają się raz na wybitnem podniesieniu moralnej strony, jako głównego znamienia czci, drugi raz na wyniesieniu społecznego znaczenia na stanowisko rozstrzygającego kryteryum, wreszcie i na łączeniu obu poglądów. Dla wszelkich takich kombinacyi pole jest zupełnie otwarte, gdyż prawo pozytywne nie daje pewnej dyrektywy, uważając, jak to trafnie podniósł Binding, „nieznane pojęcie czci za powszechnie wiadome“ i pozostawiając praktyce w sojuszu z nauką wypełnianie próżnego „blankietu czci i jej obrazy“.

Gdyby chodziło tylko o otwarte objaśnienie dzisiejszej niemocy czy nieudolności prawa w zakresie czci i formalnego zamięszania w prawno-literackiem opracowaniu tej kwestyi w Niemczech, to możnaby odesłać czytelnika do powołanej już powyżej monografii Kratza, jako jasnego i spokojnego a przytem niepretensyonalnego przedstawienia stanu rzeczy. W takim razie jednak trzebaby dodać ostrze-

[1]) Dr. Hermann Kratz: *Der strafrechtliche Ehrbegriff und das passive Subjekt der Ehrverletzung* — Giessen 1891.

żenie, aby czytelnik nie przyjmował wszystkich konkluzyi tego autora za dobrą monetę, chociaż one z pozorów oparte są nie na suchych komentatorskich pomysłach, lecz na szerszej podstawie społecznych kryteryów. Autor ten bowiem stanął na stanowisku utylitaryzmu, nawet oportunizmu prawno-społecznego, z którego już nie mógł objąć całej doniosłości sprawy. Uznaje to wprawdzie sam Kratz, że ze wszystkich pojęć prawa karnego cześć najwięcej wysuwa się po za jego granice i wchodzi w zakres etyki, ale snać etyka w pojmowaniu autora musi stać zupełnie w usługach utylitaryzmu i do jego kapryśnej chwiejności stosować fundamentalne pojęcia swoje, skoro monografia zaczyna się od oświadczenia, że niema pojęcia czci niezależnego od czasu i stosunków, że zatem cześć jest tylko reflexem prawnych, społecznych i politycznych stosunków i zapatrywań pewnego społeczeństwa w danej chwili. W staro-rzymskiem społeczeństwie podstawą czci było stanowisko jednostki jako obywatela państwa, u starych Germanów koncentrowała się cześć w stanowisku indywidualnem jednostki, w jej dzielności osobistej wobec wspólnego rodu i stanu, wreszcie w XIX. stuleciu uległa wpływom cywilizacyjnej niwelacyi, otrząsła się z właściwości narodowych, stała się pod tym ostatnim względem pojęciem mniej głębokiem i stanowi tylko wyraz całego komplexu naszych stosunków społecznych, państwowych i prawnych.

Cóż się tedy stało z samą istotą czci — możnaby zapytać autora z wszelkiem prawem, skoro poprzednio podniósł jej etyczny charakter a nie dodał przytem zastrzeżenia, że w powyższej charakterystyce ma na myśli samą tylko opinię, opartą na pobieżnych, zewnętrznych kryteryach, więc chwiejną i zmienną, czy to opinię w szerszym zakresie społecznym, więc z pretensyą do nazwy publicznej, czy w ciaśniejszych kołach, więc opinię stanową, zawodową, w ogóle opinię najbliższego otoczenia? Musi być przecież pewne zasadnicze stałe znamię, pewne niezmienne kryteryum czci wśród zmieniających się akcessoryów zewnętrznych, skoro, jak widzieliśmy w poprzednim rozdziale, od czasów rzymskich cześć wśród wszelkich przeobrażeń prawa zatrzymała w jego historyi charakter niespożytego pod względem moralnym czynnika, skoro *civis romanus*, z grobu wskrzeszony, znalazłby w dzisiejszym tak zupełnie obcym mu świecie właśnie co do czci i jej negacyi, infamii, wiele punktów stycznych, n. p. ten główny, że za człowieka bez czci, infamisa, powinien być uważany każdy, ktoby znane trzy *praecepta iuris (honeste vivere, alterum non laedere, suum cuique tribuere)* uważał za obalone już przesądy i postępował wprost w przeciwny sposób.

Po takiem rozcieńczeniu pierwotnie z naciskiem podniesionej etycznej treści czci Kratz mógł już stać się pobłażliwszym dla luki istniejącej w dzisiejszym prawie pozytywnem, i postulaty reformatorskie tak przykroić do jego ram, aby wydawać się mogło, że znajdą w nich miejsce wygodne. Za punkt wyjścia w tej mierze służy, jak tego już zresztą i po zaznaczonem na wstępie stanowisku utylitarnem autora poniekąd oczekiwać należało, życie obrotowe z całą jego komplikacyą stosunków, interesów i związków, wśród których człowiek każdy w miarę, jak w wyższym lub niższym stopniu posiada przymioty, potrzebne do wspólnego pożycia społecznego, rościć sobie może prawo do wyższej lub niższej wartości społecznej. „Interes“, jaki każde indywiduum w tem posiada, aby w związku społecznym, do którego należy, jego wartość społeczna została uznana, nazywa Kratz jego czcią w najogólniejszem tego słowa znaczeniu. Ponieważ każdy człowiek należy do takiego związku, czy to w znaczeniu ściślejszem, czy obszerniejszem, obejmującem państwo, społeczeństwo w ogóle, przeto każdy ma taki interes i każdy wymaga od prawa jego osłony. W ten sposób postawił Kratz rozcieńczone już tak bardzo pojęcie czci na stanowisku prawa podmiotowego w tem znaczeniu, jak je Ihering na schyłku swoich filozoficznych medytacyi w dziele o duchu prawa rzymskiego określił, na stanowisko interesu normami pozytywnego prawa osłoniętego. Ale zaraz potem Kratz sam to uczuł, że takie rozcieńczone pojęcie czci, równające się niemal tylko uznaniu ludzkiego charakteru w pewnem indywiduum, nie jest dostateczne. Wznosi się zatem cokolwiek wyżej, znowu w sferę etyki społeczno-utylitarnej, i szuka stałej miary dla owej poprzednio w sposób mglisty podniesionej wartości socyalnej w spełnianiu obowiązków, jakie ciężą na jednostce w jej zakresie społecznego życia i stosunków w ogóle. Miara ta rozstrzyga o godności szacunku a prawo do wymagania, aby ta godność była uznana, miałaby teraz stanowić ostateczne określenie czci.

Byłaby tedy gotowa jedna z tych konstrukcyi, któremi pozytywizm prawny wykręca się jakby sianem w wypadkach, gdy, według słów poety niemieckiego, słowa brak pojęć w porę zastępować zwykły. Dla podobnej konstrukcyi może wystarczyć elastyczność, nawet niejasność pojęcia godności szacunku, opartej na spełnianiu obowiązków w ramach takiego utylitarno-etycznego poglądu na stosunki, jaki służył Kratzowi za punkt wyjścia. Ale gdzież jest taki kodyfikator, któryby zdołał z konieczną dla osiągnięcia jakiegokolwiek celu praktycznego precyzyą sformułować warunki tej godności szacunku, określić jej znamienne kryterya zewnętrzne i wskazać

środki zabezpieczenia każdemu takiej właśnie miary szacunku, na jaką zasłużył sobie? Czy jestto rzecz możliwa w ogóle, czy może być mowa o tem szczególnie w dzisiejszem prawie, hołdującem zasadzie, że każdy ma być uważany za uczciwego, dopóki przeciwieństwo nie zostało stwierdzone?

Prawnik-pozytywista, uznając nawet niedostateczność dzisiejszego prawa pod tym względem, wahałby się dać odpowiedź przeczącą na powyższe pytanie, dopóki jestto dlań niewzruszonym pewnikiem naukowym, że prawo pozytywne samo sobie wystarczać powinno i na posiłki społeczno-moralnych czynników koniecznie oglądać się nie potrzebuje.

Zdawałoby się, że w tym pisarzu genialnym, który, jak nikt przed nim, wyniósł moralną siłę działalności cenzury rzymskiej w sferze prawa, że w Iheringu prawna i społeczno-moralna rola czci znajdzie potężnego protektora i reformatora. Gdyby duch prawa rzymskiego tak, jak go ten pisarz w swojem pomnikowem dziele pojął i przedstawił, pozostał był jego przewodnikiem do końca działalności naukowej, oczekiwanie powyższe z pewnością byłoby się ziściło. Ale Ihering w ostatniem dziele swojem o celu w prawie złożył hołd duchowi czasu, niejako ukorzył się przed egoizmem i siłą, jako twórczemi czynnikami prawa, i zająwszy stanowisko społeczno-utylitarne, sprowadził kwestyę czci na poziom tak nizki, iż gdyby w ten sam sposób ocenić wypadło jej znaczenie w historyi prawa, trudnoby było stworzyć obraz jednolity. Czynnik moralny bowiem ustępuje tutaj na drugi plan a kryteryami utylitaryzmu określone pojęcie obowiązku społecznego stanowi właściwą miarę czci. Kto w sferze interesów materyalnych, przedsiębiorca, spekulant lub robotnik, wywiązał się ze swojej pracy zawodowej w sposób celowi odpowiedni, już tem samem bez względu na inne zakresy obowiązków zdobył sobie prawo do czci i szacunku. Cześć bowiem w znaczeniu podmiotowem polegać ma właśnie na poczuciu takiej celowi odpowiadającej działalności a cześć w znaczeniu przedmiotowem, szacunek świata, na świadectwie społeczeństwa o takiej działalności. Sławiąc później dobrodziejstwa obrotu nowoczesnego, który wszystkim tak uprościł i ułatwił wygodne życie, musiał Ihering w konsekwencyi ściśle moralne kryterya zepchnąć jeszcze więcej na drugi plan, tak, aby już zupełnie nie zawadzały utylitarnemu traktowaniu rzeczy. To też mówi on wprost [1]), że obrót nie zna żadnej powagi osób: „Czy kto stoi wysoko, czy nizko, czy jest znany lub nieznany, swój

[1]) R. v. Ihering: *Der Zweck im Recht* (j. w.) t. I., str. 233.

lub obcy — obrotowi nic na tem nie zależy, bo patrzy on tylko na pieniądz. To zupełne zrównanie osób w obrocie, ta naturalna konsekwencya egoizmu, który po za zarobkowaniem o nic więcej się nie troszczy, posiada pod względem społecznym nieocenioną zaprawdę wartość. Zapewnia bowiem każdemu człowiekowi bez różnicy zaspokojenie potrzeb i możność urządzenia sobie egzystencyi w sposób, odpowiadający warunkom kultury w danej chwili. Nikt niemoże odjąć człowiekowi tego stanowiska w obrocie. Państwo może mu odjąć wolność i cześć, kościoły i stowarzyszenia mogą go wykluczyć, obrót jednak nigdy go się nie wyprze. Nawet ten, kto już na nic przydać się niemoże, z którym nie chce się mieć żadnej wspólności lub styczności, zawsze jeszcze jest dość dobry, aby z nim zawierać interesa a mieszcząca się w pieniądzu asygnata na pomoc w społeczeństwie zawsze jest płatna.“ A jestto ten sam obrót, którego najświetniejszą inwencyę nowoczesną, kompanie akcyjne, Ihering potępił w tem samem dziele, nazywając ich wpływ „głęboko demoralizującym, zatruwającym samą rdzeń zasad czci i uczciwości.“

Stawianie czci na równi z taką kosmopolityczno-obrotową wartością popiera Ihering wywodami etymologicznemi. W tych wywodach starał się Ihering [1]) wykazać genetyczne pokrewieństwo wyrazów cześć oznaczających, w języku greckim, łacińskim, niemieckim, hebrejskim i węgierskim, w ogóle w tych językach, co do których wyniki mógł oprzeć bądź to na własnych badaniach, bądź na otrzymanej zkądinąd informacyi naukowej. W każdym z tych języków cześć zostaje etymologicznie w najbliższem pokrewieństwie z materyalną wartością. Szczególnie uderzającem wydało się Iheringowi pokrewieństwo łacińskiego *existimatio (aestimatio* = szacowanie; *aes* = pieniądz) z niemiecką *Ehre* (według Grimma od sanskryckiego *ajas* = żelazo, więc i pieniądz, jak *aes)*. Jeżeliby Ihering rozciągnął był etymologię na języki słowiańskie, to byłby się albo zachwiał w swoich wnioskach, albo zwątpił w ową, tak chełpliwie przez niemieckich prawników wynoszoną, szczególną wrażliwość Germanów w sferze czci i w ich wrzekomo przodujące pod tym względem stanowisko pomiędzy innemi narodami. Pokazałoby się bowiem, że albo owa germańska wrażliwość ograniczała się na opinii faktycznie istniejącej, ale co do moralnej podstawy niesprawdzonej, albo że język niemiecki nie jest tak *par excellence* filozoficzny, jak go Niemcy sami nazywają. Wobec pokrewieństwa wyrazu czci ze staro-

[1]) R. v. Ihering: *Der Zweck im Recht* (j. w.) t. II., str. 501.

słowiańskim wyrazem *czist* [1]) (t. j. człowiek czysty, bez skazy moralnej) przebija dopiero w naszem określeniu czci podniosłe pojmowanie jej istoty w duchu moralnym a nie w znaczeniu wartości materyalnej. To też według Lindego [2]) „cześć miasto cnoty i poczciwości bierzemy“ a w naszych pomnikach prawa znaleść można na to dowody autentyczne [3]).

Chociaż Ihering w swoim etymologicznym wywodzie położył nacisk na wartość w takiem znaczeniu, jakie najlepiej odpowiadało kierunkowi całego dzieła, rehabilitującego egoizm i wynoszącego obrót, jako ważną etapę w cywilizacyjnym pochodzie ludzkości, to jednak nie mógł pominąć kwestyi, co począć z moralną stroną sprawy, mianowicie, jakie mają być kryterya, że ta wartość ze swoją skalą utylitarno-obrotową stanowi synonim czci w pełnem tego słowa znaczeniu, w takich przynajmniej ramach moralnych, jakie dla jej praktycznego znaczenia w prawie są niezbędne. Kryteryów takich szukać musiał Ihering już tylko po za sferą obrotową i w ogóle prawną a znalazł je w szacunku, który „jest pojęciem socyalnem i stanowi ujawniający się w opinii publicznej sąd społeczeństwa o wartości“. Sąd ten nie ogranicza się na poszczególnych aktach w znaczeniu prawnem, lecz obejmuje człowieka z całą sferą jego działalności.

Tak tedy pozytywizm prawny, tak zresztą biegły w sposobach takiego paragrafowego kurczenia pojęć, aby się przynajmniej wydawać mogło, że samo prawo da sobie radę ze wszystkiemi stosunkami życia, w tej sprawie bodaj pośrednio przyznaje się do niemocy, skoro rezerwuje dla siebie tylko zewnętrzną cześć, sprowadzoną na poziom jeszcze nieposzlakowanej a właściwie formalnie stwierdzonemi po-

---

[1]) Wacław Alexander Maciejowki: *Historya prawodawstw słowiańskich* (j. w.) t. III. str. 5 i 167.

[2]) S. B. Linde: *Słownik języka polskiego* — t. I. str. 370.

[3]) N. p.: .. ustanawiamy, iż ktobykolwiek na potomne czasy pozwał iaką personę *criminaliter in causis honorem tangentibus* . . . . . szczypiąc go na poczciwości jego . . (O rzeczach, które się poczciwości dotyczą — *Volumina legum* t. II. str. 53).

. . . takowy gwałtownik y naiezdnik y *raptor* dóbr . . . ma utracić poczciwość y wszystkie dobra, które trzyma. (*Vol. Leg.* t. II. str. 172).

. . . pod uczciwością i gardłem rozkazuiemy . . (*Vol. Leg.* t. IV. str. 48).

. . poczciwość y gardło traci . . .

. . . to już poczciwości jego będzie szkodziło . .

. . . na poczciwości jaką zmazą naruszony . .

(Bartłomiej Groicki: *Porządek Sądów i Spraw Mieyskich* (j. w.) str. 91—2 i 123, itd. itd. itd.)

szlakami jeszcze w danej chwili nieobciążonej reputacyi a szacunek, jako dodatni wyraz społeczno-moralnej wartości przekazuje opinii, jako organowi judykatury społecznej. Jestto tylko wydobycie się z trudnej sytuacyi, ale nie takie rozwiązanie kwestyi, żeby społeczeństwo mogło już być spokojne o rolę i losy czci w prawie.

A jednak pozytywizm prawny, znalazłszy takie wyjście, nie ogląda się już na dalsze wątpliwości i zdaje się znowu być pewnym siebie. Za próbkę tej pewności niech posłuży zdanie pisarza, który jest zarazem sędzią w najwyższym niemieckim trybunale państwowym, zdanie Bülowa [1]), wypowiedziane w tych słowach: „Osłonięte prawem karnem dobro prawne czci stoi w pośrodku między wartością (czcią wewnętrzną) a czcią w towarzyskiem znaczeniu *(Cavalerieehre)*. Jest ona zupełnie niezależną od rzeczywistej moralnej wartości a ponieważ nikt nie jest ani doskonałym pod względem moralnym, ani skończonym niegodziwcem, także niezależną od tego, czy wartość moralna pewnej osoby przeważa nad jej moralnemi wadami. Także człowiek małej wartości moralnej, upadły, znikczemniały, posiada cześć w znaczeniu prawnem a kto go łaje, hańbi lub znieważa, nie będąc do tego szczególnemi stosunkami uprawnionym, popełnia karygodną obrazę. Prawo bierze za podstawę ideę o wrodzonej każdemu człowiekowi godności, która na tem polega, że jest stworzony „na obraz i podobieństwo Boga“, że jest istotą duchową, wolną, z natury swojej i z przeznaczenia swojego po nad wszystkie inne ziemskie stworzenia wysoko wyniesioną. W żadnym razie nie należy to do istoty karygodnego czynu obrazy, aby w danym wypadku obrażony rozwinął się na osobistość prawdziwie moralną i w swojej osobie stanowił inkarnacyę godności ludzkiej. Prawo bierze za punkt wyjścia wrodzoną, nigdy w całości zatracić się niedającą godność człowieka i dlatego całkiem ogólnie wzbrania okazywania drugiemu lekceważenia czynami, które nie mają podstawy w szczególnem uprawnieniu... Jeżeli zatem cześć w znaczeniu prawnem służy każdemu, nawet osobom niegodnym pod względem moralnym, to z drugiej strony trzeba o tem pamiętać, że cześć, jako wzięte w osłonę dobro prawne, posiada tylko całkiem zewnętrzny charakter, że nie jest niczem więcej, jak tylko służącem każdemu człowiekowi uprawnieniem do żądania, aby inne osoby zaniechały objawów wzgardy lub lekceważenia. Niema żadnego prawa do wymagania szacunku. O usposobieniu dla drugich prze-

[1]) Br. Bülow: *Ueber den Schutz der Ehre und das Recht der freien Meinungsäusserung* (j. w.) str. 267 i n.

pisy niemogą być wydawane... Nie da się uzasadnić prawny obowiązek do przyjmowania podanej lub podawania własnej ręki do uścisku, do witania, do składania wizyty, w ogóle do zawiązywania i utrzymywania towarzyskich stosunków."

Bülow w rozprawie swojej miał na celu objaśnienie ducha obowiązujących w Niemczech postanowień karno-prawnych o ochronie czci. W tem objaśnieniu jednak, zapewne mimowoli, lepiej niż wątpliwe szczegóły owych postanowień, objaśnił niedostateczność całej ochrony czci, skoro ona służyć ma każdemu bez względu na jego wartość moralną, więc i niegodnemu. Więcej niż niedostateczność, bo stanowczą niemoc prawa pod tym względem objaśnił Bülow, skoro wynik czci, szacunek, wyjąć musiał ze sfery prawa i przekazać go w zupełności opiece społeczeństwa. Szkoda, że autor ten nie wysnuł zasadniczych konsekwencyi z rezultatów, do których doszedł i ostatecznie dojść musiał, mając na oku tylko cel tak praktyczny, jak objaśnienie obowiązujących postanowień prawa pozytywnego. Aż się prosi bowiem zestawienie tych rezultatów z przechwałkami pozytywistów, że prawo może i musi wyemancypować się z pod zależności od etyki, że samo o własnych siłach jest w stanie objąć i osłonić całą sferę interesów społecznych człowieka.

Jak w dusznej atmosferze świeży powiew powietrza, tak samo wśród prądu utylitarnego, który zapanował w niemieckiej literaturze prawno-filozoficznej w ogóle a w monografiach o czci znalazł, jak widzieliśmy, wyraz znamienny, dobroczynnie podziałała mowa rektorska dr. K. Bindinga, rozszerzona później i wydana przez autora w formie osobnej monografii [1]). Rzadko spotkać się można dzisiaj, w czasie nerwowej produkcyi naukowej i literackiej, w okresie rozwlekłych parafraz, odświeżających tylko w zmiennej formie to, co już przedtem nieraz było wypowiedziane, z rozprawą tak krótką a tak przytem jędrną i treściwą, tak świeżą i bogatą w nowe myśli a w dodatku, co stanowi szczególną zaletę, pobudzającą czytelnika do samodzielnej kontynuacyi pracy duchowej autora.

„Niezmiernie bogata a przytem w równym stopniu zajmująca historya czci — temi znaczącemi słowami rozpoczyna Binding swoją pracę — historya rozwoju zapatrywań o podstawie i istocie czci, o mierze jej wartości, o jej tysiącznych konfliktach z innemi dobrami i ich godziwem rozwikłaniu, o żądzy prawdziwej i pozornej czci, jako motorze działającym w dziejach, o tak zwanej obrazie czci,

---

[1]) Dr. Karl Binding: *Die Ehre und ihre Verletzbarkeit* — Leipzig 1892.

jej rodzajach, karceniu i wrzekomem naprawianiu — historya ta niestety nie została jeszcze napisana.“ Kto ją zechce napisać, musi wziąć w rachubę cały szereg czynników, jak uczucia społeczeństwa, objawiające się w obyczajach, prawo, naukową refleksyę i poezyę, dla której w pewnych okresach czasu i u pewnych narodów cześć stanowiła punkt oparcia. Szczęśliwem jest społeczeństwo, w którem czynniki te zgodnie działają. Otwarcie ubolewa autor nad społeczeństwem niemieckiem, że szczęściem takiem pochwalić się niemoże, gdyż ową pożądaną harmonię psuje wielka rozterka między obyczajami a prawem, rozterka w zdaniach o istocie czci i jej wymaganiach. Nie jest to zwyczajny spór akademicki, lecz formalna walka, której końca jeszcze nawet przewidzieć niemożna.

Z naciskiem, nadającym charakter całej dążności rozprawy, podnosi Binding różnicę między reputacyą, opinią, jako czcią zewnętrzną a wewnętrzną moralną wartością człowieka, „tym szlachetnym kruszcem charakteru“, który stanowi istotę czci wewnętrznej, jako poczucia tej wartości, bez względu na to, czy ona jest znaną za pośrednictwem opinii. Nie każdy posiada pełną świadomość tej czci wewnętrznej, ale najskromniejszy czuje ją i dlatego obraza odbija się w sferze jego uczuć. Takiej czci ani nadać, ani odjąć niemoże nawet wszechmocne w swojem wyobrażeniu państwo tegoczesne. Odjęcie czci, jako kara przez prawo pozytywne nakładana, nie czyni ukaranego bezecnym, lecz tylko piętnuje, pozbawiając pewnych praw, tego, kto już przedtem stał się bezecnym.

I Binding podnosi społeczną wartość czci, ale bierze ten wyraz w szerszem i podnioślejszem znaczeniu, aniżeli utylitaryści, którzy „w swojej niepięknej mowie nazywają cześć miarą towarzyskiej użyteczności człowieka“. Wartość społeczna czci polega na dopełnieniu obowiązków, więc skala jej jest poniekąd nieskończona, zaczynając od zera, t. j. tych bezbarwnych charakterów, które ani naruszenia obowiązków wyrzucać sobie nie potrzebują, ani ich dopełnieniem poszczycić się niemogą, a skończywszy na heroizmie w podejmowaniu się wszelkiej pracy dla dobra publicznego, w abnegacyi na rzecz społeczeństwa.

Uznanie czci za dobro w prawnem znaczeniu, dobro osłonięte tak samo, jak inne, powagą prawa przed obrażeniem, ma na celu doniosłą funkcyę społeczną. Chodzi bowiem tutaj o osłonę miernika kursu obrotowego ludzi. I tutaj właśnie rozchodzą się prawne i moralne wymagania. Prawo bowiem w ustaleniu tego miernika musi mieć na uwadze niedoskonałość człowieka, brać za podstawę niejako przeciętny stopień prawości, kiedy tymczasem moralność nie zado-

wala się takim skromnym widnokręgiem. Każdy człowiek ma swoje *conto* czci, w którem zapisywane są pozycye czynne i bierne. Dopóki pozycye bierne nie przewyższają czynnych po nad miarę wyrozumiałości, jaką prawo okazuje ułomności natury ludzkiej, można jeszcze mówić o istnieniu czci w znaczeniu prawnem, chociaż ze stanowiska moralnego nasuwa się już wątpliwość.

Na tle powyższej różnicy uwydatnił Binding istotę czci wewnętrznej, polegającej na świadomości spełniania obowiązków, więc na moralnej wartości a tem samem niewystawionej na obrazę tak, jak cześć zewnętrzna, t. j. reputacya, zdobyta faktycznie i uznawana przez innych bez oglądania się na to, czy łączy się rzeczywiście z czcią wewnętrzną, lub tylko brak jej zręcznie pokrywa. Jeżeli się więc mówi o obrazie czci, to odnosi się to tylko do czci zewnętrznej a nie do wewnętrznej. „Zresztą — mówi autor — pretensya każdego, aby był traktowany w sposób, odpowiedni swojemu *conto* honorowemu, jest skutkiem czci, ale nie samą czcią. Zaspokojenie tej pretensyi nie daje czci, lecz tylko stanowi faktyczne jej uznanie a naruszenie tej pretensyi nie odbiera czci, nie stanowi nawet naruszenia czci, lecz tylko czyni ujmę potrzebie szacunku, o ile ona łączy się zarazem z godnością szacunku... Cześć, jako idealne dobro prawne, niemoże być przez inną osobę naruszone.“ Kto więc cześć wewnętrzną posiada, ten może ją utracić tylko z własnej winy i w następstwie własnego działania.

Binding uznał temat przez siebie wybrany za kwestyę przeważnie filozoficzną i zajął odpowiadające takiemu pojmowaniu rzeczy stanowisko naukowe, stanowisko, panujące nad tym całym terenem pozytywno-prawnym, na którym ścierają się opinie ściśle prawnicze o znaczeniu czci w prawie i o jej obronie. Tylko z filozoficznego stanowiska można było pociągnąć tę ścisłą linię demarkacyjną między czcią zewnętrzną, czyli reputacyą lub opinią, wystawioną na każdym kroku na pociski z całego otoczenia społecznego, a czcią wewnętrzną, która jako treść moralna człowieka, jako poczucie obowiązków i ich harmonii z prawami, tylko przez niego samego może być zatracona lub zwichnięta.

Taką nowością dla świata prawniczego było to ujęcie kwestyi ze strony filozoficznej, że rozprawa Bindinga, jakkolwiek autor nie wysnuł z niej wszystkich wniosków dla prawa, sprawiła wrażenie, jakgdyby stanowiła formalne odkrycie naukowe, lub rzuciła pierwsze promienie światła na nową, dopiero do celu zawieść mającą drogę. Świadczy to dobitnie, jak dalece owo na wstępie tej pracy podniesione lekceważące traktowanie „subtelności metafizycznych“

w zakresie prawa ośmieliło prawników-pozytywistów do ignorowania filozoficznej strony nawet tych kwestyi, które dyktatami paragrafowemi, na oślep wydawanemi, mogą być ubite, ale nie rozwiązane a tem mniej załatwione tak, jak tego już nietylko dobro społeczne, lecz i powaga samego prawa wymaga.

Gdyby nie owo ignorowanie filozoficznej strony czci, byłaby ona może daleko prędzej stanęła przed ustawodawstwem współczesnem w swojej prawdziwej postaci a wtedy nie byłoby w kodexach dzisiejszych takich luk i usterek, jakie za świadectwem komentatorów faktycznie istnieją. A nietrudno było znaleść w dziedzinie filozoficznej drogę do takiego rozjaśnienia kwestyi, jakie podał Binding, jeżeli się weźmie za punkt oparcia sumienie, oświecające cały obszar obowiązków, w których poczuciu streszcza się cześć człowieka, sumienie, które francuski prawnik Joly w głębokim filozoficznym poglądzie na istotę i objawy przestępstwa w życiu społecznem nazwał „całym człowiekiem", więc wyrazem całej jego wartości moralnej, której kwintessencyę cześć stanowi [1]). Siłą sumienia *(vis conscientiae)* jest cześć także według słów mistrza św. Tomasza z Akwinu, Alberta Wielkiego, i tem ona pozostać musi w poglądach filozoficznych w których za kryteryum prawdziwej filozofii nie jest uważane strącanie z piedestału i niweczenie ideałów moralnych ludzkości, jej przewodników od brzasku ery chrześciańskiej w pochodzie na wielkim szlaku cywilizacyjnym. Nawet Schopenhauer, który poniżył moralną stronę pojęcia czci, nazywając ją w objektywnem znaczeniu opinią innych ludzi o naszej wartości a w subjektywnem znaczeniu tylko obawą przed tą opinią, nie odrazu stanął na tem stanowisku, lecz przedtem sumienie wprost nazwał czcią wewnętrzną [2]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

---

[1]) Henri Joly: *Le Crime* — Etude sociale, III. ed. Paris 1888, str. 217.

[2]) A. Schopenhauer: *Parerga und Paralipomena* — Leipzig 1874, t. I. str. 383.

PAMIĘTNIKI
PUŁKOWNIKA d'ALOY
REZYDENTA SASKO-KURLANDZKIEGO.

(PRZYCZYNEK DO HISTORYI POLSKIEJ XVIII. WIEKU).

Część druga.
1768.
(Ciąg dalszy).

X.

Krasiński zawiadamia manifestem o pomocy Porty i ogłasza za zdrajców tych, którzyby się udali na przyszły sejm. — Carowa obstaje przy żądaniach swoich. — Odjęcie dowództwa Kreczetnikowowi i Weissmanowi. — Wyroki wykonywane na hajdamakach. — Nota ministeryum polskiego. — Nowy basza chocimski wyraża uznanie marszałkom konfederacyi. — Nowa nota Porty Ottomańskiej. — Wojska tureckie mają tylko tworzyć korpus obserwacyjny, nie mięszając się czynnie do spraw Polski.

Warszawa, 7. września 1768.

Przyjechał tu Carr, a jednocześnie dwóch kuryerów tureckich z Konstantynopola z depeszami do pana De la Roche i do ambasadora od Obrezkowa. Przywieźli oni wiadomość, że 50.000 Turków posuwa się przez Mołdawię ku granicy polskiej, że sułtan bardzo jest niezadowolony z konfederatów, których siły ciągle się zwiększają, że ci ostatni przyjmują do służby tylko zdolnych i zaufanych ludzi, uwalniając wszystkich innych, nie mających tych przymiotów. Wszystko to wróży nowe nieszczęścia dla Polski.

Do wszystkich oficerów, delegowanych na sejmiki, ambasador wysłał instrukcye, polecające im występować jedynie przeciwko zawiązywaniu się konfederacyi, oraz oświadczyć kategorycznie, że do niczego więcej mięszać się nie będą i że szlachta może wybierać posłów, jakich zechce.

Dzień dzisiejszy jest rocznicą elekcyi króla. Byłby to dzień prawdziwie uroczysty, gdyby w tej uroczystości brał udział cały naród, ale ten więcej się cieszy pochodem wojsk tureckich.

Sprawiający interesa wołoskie, p. Saul, mówił mi wczoraj, że maszerująca do granicy armia turecka liczy 70 tysięcy ludzi, że zostaje pod dowództwem baszy rumelijskiego, że jednak chorągiew Mahometa nie została rozwinięta, ani wojna wypowiedziana.

Krasiński wydał nowy manifest, w którym zawiadamia naród o pomocy Porty Ottomańskiej, zapowiadając jednocześnie, że wszyscy, którzyby udali się na przyszły sejm, będą uważani za zdrajców i nieprzyjaciół ojczyzny.

Zachowanie się Porty nie powstrzymuje wcale Rossyi od dawnych zamiarów i planów. Carowa obstaje przy traktacie gwarancyi i prawach dyssydentów, chociażby to miało wywołać wojnę z jakiemkolwiek państwem. Tę opinię polecił mi ambasador zakomunikować listownie księciu Radziwiłłowi, z nadmienieniem, aby w instrukcyach poselskich nie było nic przeciwnego wyżej wymienionym trzem punktom kardynalnym, co gdyby nie miało nastąpić, przekonany jest, że na sejmie skłoni posłów do tego, aby, bez względu na instrukcye, postępowali zgodnie z jego wolą i aby wszystko, co postanowiono na przeszłym sejmie, zostało jednomyślnością zatwierdzone na obecnym.

Z powodu skarg hetmana w. k., że znaczna liczba wojsk rossyjskich konsystuje w jego dobrach, ambasador odpowiedział, że to zarządzone zostało w tym celu, aby go pozbawić środków udzielania pomocy nieprzyjaciołom dworu, jak to miało miejsce niedawno, kiedy wysłał 12.000 dukatów swojemu siostrzeńcowi podczaszemu.

Ambasador otrzymał raport, że na Litwie zawiązują się konfederacye w Kownie, Wiłkomierzu i Upicie. Jest on tego zdania, że Porta zadowoloną będzie z wydanych rozkazów wojskom rossyjskim, aby cofnęły się od granicy, że odjęte zostały dowództwa generałowi Kreczetnikowowi i pułkownikowi Weissmannowi za dopuszczenie nieporządków na granicy tureckiej, oraz że wykonano wyroki śmierci na wielu hajdamakach i zbuntowanych chłopach. Adjutant królewski, Kicki, wyjechał właśnie z synem instygatora koronnego do Lwowa dla ukarania 1.300 uwięzionych tam chłopów.

Rossya zamierza podobno posłać Porcie Ottomańskiej manifest, w którym objaśnia, że nie brała żadnego udziału ani w buncie chłopskim, ani w ekscesach hajdamaków. Ale jakże tu usprawiedliwić podobne ekscesa, skoro ministeryum Rzeczypospolitej zakomunikowało właśnie ambasadorowi rossyjskiemu notę, popartą niezbitymi

dowodami, że popi prawosławni (greckiego wyznania) ciągle podburzają chłopów tego wyznania przeciw unitom i katolikom.

Branicki przysłał kuryera z doniesieniem, że skoro wojska rossyjskie odstępują od granicy, to on własnemi siłami nie będzie w stanie oprzeć się zbuntowanym chłopom, a tem bardziej konfederatom, jeżeli ci ostatni zamierzą wejść znowu w granice kraju tutejszego.

Ile wojsk rossyjskich będzie na Litwie, nie obchodzi to wcale konfederatów; konfederacye zawiązują się tam ciągle i prawdopodobnie przed sejmikami Litwa będzie skonfederowaną. Konfederaci upiccy zarąbali 200 huzarów rossyjskich, którzy zrobili na nich zasadzkę. Oczekiwany od kilku dni w Warszawie hetman Ogiński wcale nie przybył. Zawiadamiał poprzednio, że zapewnie będzie musiał jechać bocznemi drogami i dlatego jest obawa, czy go nie spotkało to, co marszałka Guzowskiego, który zamordowany został w lasach wielkopolskich.

Do Chocimia przybył nowy basza. Spotykali go w podróży marszałkowie konfederacyi. Na udzielonem im posłuchaniu basza zapytał ich, co są za jedni. Po wymienieniu przez nich nazwisk, powiedział do Potockiego:

— „Nazwisko pana jest znane i szanowane przez Turków, jako wielkiego patryoty, ale obecnie panowie jesteście buntownikami i rozbójnikami, rabującymi dochody królewskie, jesteście burzycielami spokoju publicznego, strącacie ojczyznę waszą w przepaść.“

Mowa ta zmięszała i zmartwiła marszałków, ale basza roześmiał się i rzekł:

— „Winszuję waszej ojczyźnie, że ma takich zacnych synów-buntowników, którzy poświęcają majątki, rzelewają krew swoją, narażają życie dla jej obrony.“

Poczem przyjął ich bardzo uprzejmie. Zapewnie po jego przybyciu do armii ogłoszoną będzie deklaracya o intencyach Porty.

Tutejszy dwór płaci wszystko nowymi holenderskimi dukatami. Król, jak mówią, miał otrzymać przez Gdańsk 350.000 dukatów, tytułem pożyczki od króla angielskiego. Według innej wersyi i to nie bez pewnej racyi, ma to być dar carowej.

Rezydent wołoski objaśnił mi, dlaczego Rossya, mimo zamieszek na Litwie, nie wprowadza tam świeżych wojsk ani od strony Smoleńska, ani od strony Inflant. Ambasador otrzymał notę Porty, która żąda, aby Rossya opuściła prowincye Rzeczypospolitej, a przedewszystkiem, aby cofnęła wojska swoje z województw, graniczących z jej krajami.

Ambasador rossyjski doręczył już panu De la Roche odnośną odpowiedź, w której Rossya, pomijając milczeniem punkt odnoszący się do opuszczenia Polski, przyrzeka nie wprowadzać tam więcej nowego wojska i cofnąć oddziały wojsk z województw pogranicznych, z tym jednak warunkiem, aby Porta przyjęła na siebie odpowiedzialność za utrzymanie porządku i spokojności w tych województwach i zaręczyła, że nie wpuści tam konfederatów. Z powodu właśnie tej odpowiedzi oczekiwaną jest deklaracya Turcyi, o której wyżej nadmieniłem.

Ze względu na znaną nienawiść Turków i Tatarów ku Rossyi i ponieważ byłoby rzeczą bardzo niebezpieczną dla Porty, gdyby chciała cofać raz już będącą w marszu armię i gotować do walki, przeto według wszelkiego prawdopodobieństwa wojna jest nieuniknioną.

Sztafeta jednak przywiozła od Branickiego oryginalną odpowiedź nowego baszy chocimskiego, w której tenże oświadcza mu, że wojska tureckie tworzyć będą korpus obserwacyjny, że Porta nie będzie się wcale mieszać do spraw Polski, że chce tylko pośredniczyć dla uzyskania bezpieczeństwa dla konfederatów, którzy się oddali pod jej opiekę. Benoit z tego powodu oświadczył w mojej obecności prymasowi, że basza ten, posiadający całe zaufanie sułtana, gotów jest zrobić wszystko, aby tylko utrzymać pokój.

Oddział, z 400 konfederatów złożony, wpadł niespodziewanie do Bydgoszczy, wziął do niewoli 150 ludzi z pułku Sacha, rozpędził sąd, zabrał kasę z magazynu solnego i odjechał do komor nadwiślańskich, których jednak kasy zastał puste.

W przyszły poniedziałek dowiemy się, do czego są zdolni obecni Polacy, bo właśnie w tym dniu rozpoczynają się sejmiki, na które udać się mogą wszyscy bez obawy i na których w większej nierównie liczbie zbiorą się, niż konsystujące tam oddziały wojsk rossyjskich.

Benoit mówił mi, że nie można się wcale spodziewać dobrych skutków z sejmików, gdyż przyjaciele Rossyi nie śmią się na nie udać. Liczba wojsk rossyjskich, wysłanych przez ambasadora na Litwę, bardzo uszczupliła kontyngens tutejszy i gdyby tak szlachta mazowiecka wsiadła na koń i ruszyła na Warszawę, wszystko, co żyje, uciekłoby w popłochu.

Sejmik warszawski odbył się spokojnie; udział szlachty był bardzo niewielki. Sędziowie Staniszewski i Woliński wybrani na posłów. W ten sam sposób odbył się i sejmik czerski. Nie mamy dotąd żadnej wiadomości o innych, a mianowicie o sejmikach litewskich.

XI.

Cała Litwa zawiązuje w gorączkowym ruchu konfederacye. — Najniebezpieczniejsza oszmiańska jest w stanie wystawić 8 tysięcy kawaleryi. — Dymisya w. wezyra i mianowanie na ten urząd baszy chocimskiego, przyjaciela biskupa kamienieckiego. — Nowe negocyacye Branickiego z konfederatami. — Rozmowa z Igelströmem. — Zagadkowe zachowanie się baszy chocimskiego. — Niezadowolenie Repnina z postępowania Radziwiłła. — Nagły wyjazd rezydentów De la Roche i Saula i spodziewane wypowiedzenie wojny przez Turcyę. — Owacyjne przyjęcie biskupa kamienieckiego w Paryżu. — Uwięzienie Obrezkowa, posła rossyjskiego w Konstantynopolu.

Warszawa, 12. października 1768.

Dotąd nie było zupełnie sejmików w wielu miejscach, jak n. p. w Krakowie, Sandomierzu, Lublinie, Sieradzu, Rawie, Płocku i t. d.; w Wyszogradzie zaś i Dobrzyniu zupełnie się nie udały. Co do tych ostatnich dwór utrzymuje przeciwnie, a ja jestem zdania, iż nastąpi to na skutek nowych uniwersałów, jakie powtórnie rozesłał.

Naczelnik konfederatów wielkopolskich pobity został przez pułkownika Suchotina, który mu zabrał 250 ludzi i 4 działa, a okoliczność ta ułatwiła odbycie sejmiku: nie spodziewają się jednak ztamtąd więcej nad dwóch posłów, t. j. Gawrońskiego i Aleksandra Sułkowskiego.

Według doniesienia, jakie przywiózł kuryer z Litwy, cała ta prowincya znajduje się w gorączkowym ruchu. Zawiązała się nowa konfederacya w Brześciu, inna znowu konfederacya utworzyła się na Żmudzi. Do tej prowincyi wysłany pułk piechoty z Mitawy.

Ambasador rossyjski nie otrzymuje żadnych wiadomości od niektórych generałów, złączonych węzłem przyjaźni z faworytem carowej, Orłowem, jak n. p. Sołtykow, którzy nie chcą być zależni od ambasadora w swoich działaniach wojennych w kraju tutejszym. Kreczetnikow i inni, należący do tej partyi, nie są przyjaciołmi króla, a tem bardziej stronnictwa Repnina. Sam Carr nie ukrywa się ze swoją opinią i oświadcza wyraźnie, że Polska dopóty nie będzie szczęśliwą, dopóki Stanisław August pozostanie na tronie.

Świeże wiadomości o zawiązanych na Litwie konfederacyach bardzo zatrwożyły dwór tutejszy. Najniebezpieczniejszą jest konfederacya oszmiańska, gdyż prowincya ta jest w stanie wystawić 8.000 kawaleryi.

Konfederacya brzeska zabrała kasę wojskową pułku Grabowskiego, około 200.000 złp., oprócz tego 60 siodeł, 80 pałaszy i karabinów.

Województwo nowogrodzkie poszło za przykładem Brześcia. Biskup wileński, który wziął na siebie sejmik miejscowy, nie zdołał nic zrobić mimo obecności 2.000 ludzi wojsk rossyjskich. Konfederaci litewscy obsadzają drogi i lasy i niepokoją wszędzie wojska rossyjskie.

Podobno ambasador rossyjski ma przygotowaną nową deklaracyę, w której oświadcza wprost, że użyje siły przeciw wszystkim, którzy nie są życzliwi dla Rossyi. Pisze do wszystkich senatorów i magnatów, aby przybywali na sejm, w przeciwnym bowiem razie uważać ich będzie za nieprzyjaciół Rossyi.

Konfederacya sanocka sformowała nowy oddział, do 400 ludzi wynoszący. Kilku z nich dostało się do niewoli, a w ich liczbie, według zawiadomienia gen. Apraksina, są tacy, którzy po zdobyciu Krakowa warunkowo byli uwolnieni. Ci zapewnie zostali rozstrzelani.

Wielką nowiną dnia jest dymisya w. wezyra. Był to zacny mąż, prawy, ale już w wieku i nie wojownik. Na urząd wielkiego wezyra mianowany dzielny żołnierz, który przed kilkoma laty był baszą Chocimia, człowiek czynny, energiczny. Pozostawał on dawniej w ścisłych stosunkach z biskupem kamienieckim. Samo się przez się rozumie, że Rossya nie jest z tego wcale zadowoloną.

Konfederaci otrzymali wiele obietnic i propozycyi od Branickiego. Tak dwór tutejszy, jak i ambasador życzą sobie ich powrotu i chcieliby im zbudować do tego złoty most. Zdaje się, że tak Potocki, jak i Krasiński nie odrzuciliby propozycyi, gdyby z innej strony nie mieli pewności silnego poparcia. Co większa, starosta smotrycki, Potocki, zobowiązał się już nawet do powrotu. Wysłano mu w tym celu paszporta od ambasadora i komisyi wojennej. Po rozmowie jednak z bratem, odrzucił wszystkie propozycye i pozostał, z czego wnosić wypadałoby, że muszą liczyć na jakąś wielką pomoc.

Igelström pytał mnie, co sądzę o pogłosce, według której Francya ma wziąć na swój żołd 20.000 Sasów. Odpowiedziałem mu, że pierwszy raz o tem słyszę i starałem się przekonać go wszelkimi sposobami, że Saksonia chce trzymać z Rossyą. Wnoszę jednak z jego mowy, że bardzo zwracają uwagę na Francyę.

Listy z Litwy zawiadamiają, że marszałkiem konfederacyi nowogrodzkiej jest Pac, który ma przebywać w Słucku z wojskiem Radziwiłła. W całej Litwie ma panować wielkie wzburzenie umysłów i wojska rossyjskie tylko z wielką ostrożnością mogą odbywać marsze. Ambasador rossyjski miał podejrzenie na Saksonię, a to z powodu, że Kosakowski zawiązywał konfederacyę na Litwie razem z wujem swoim, który wszakże obecnem swojem postępowaniem zupełnie

uspokoił tego ministra. Przynajmniej tak mi mówił sam książę Repnin. Najprzód uwolnił wszystkich jeńców rossyjskich, a w ich liczbie i adjutanta Igelströma, następnie pożegnał się z towarzyszami broni, namawiając ich, aby wrócili do domów, poczem wraz z wujem swoim uszedł do Prus. Tym sposobem, według słów ambasadora, miały rozwiązać się konfederacye: kowieńska, żmudzka i brzeska.

Cokolwiekbądź, nie wiem, czemu przypisać tę zmianę, tę obojętność na Litwie. Jeżeli konfederacye nie będą z sobą solidarnie trzymać, to w miarę rozwiązywania się jednych drugie tem łatwiej pokonywane będą przez wojska rossyjskie. Przypuszczam, że chyba niektóre mocarstwa odłożyły do wiosny wykonanie swych planów przeciw Rossyi. Ponieważ Kosakowski spełniał tylko polecenia w. hetmana, a ten ostatni znowu prowadził korespondencyę z księżną miecznikową, pozostającą w stosunkach z gabinetem francuskim, przeto z tego powodu zaniechano dalszych planów.

Słyszałem od ambasadora De la Roche, że król pruski miał powiedzieć do generała Skórzewskiego: „Obiecuję wam w roku przyszłym sejm pacyfikacyjny.“ Mówił mi on również, że basza chocimski pisał do Branickiego, iż zamiary Porty względem Rzeczypospolitej są jak najlepsze i byłoby bardzo na czasie, aby Rada stanu wysłała do niego jaką poważną osobę z uczciwym tłómaczem, gdyż miałby mu do powiedzenia wiele ważnych rzeczy, które mogłyby być zużytkowane dla dobra Rzeczypospolitej. Król i gabinet trzymali z początku pomieniony list w sekrecie, nie chcąc obudzać podejrzeń Repnina: następnie jednak, po zniesieniu się z ambasadorem, zdecydowali się nareszcie wysłać tłómacza z poleceniem oświadczenia baszy, że może mu wypowiedzieć propozycye, o jakich napomknął Branickiemu.

Nie umiem sobie objaśnić postępku baszy i intencyi Porty Ottomańskiej, która nie uznała dotąd króla polskiego i jawnie proteguje konfederatów, gdy tymczasem basza znosi się poufnie z reprezentantem partyi królewskiej, t. j. nieprzyjacielem Porty. Wszystko to tak jest sprzeczne i chyba w ten sposób daje się objaśnić, że basza dlatego otrzymał rozkaz podobnego postąpienia, aby lepiej ukryć intencye Porty w przedmiocie prowadzenia wojny.

Poczta sobotnia przywiozła nam wiadomość z Litwy o przyjściu do skutku sejmiku w Pińsku, a również że zawiązała się w Mścisławiu konfederacya, mająca pod bronią 4.000 wojowników, że w Nieświeżu jest już konfederacya, której marszałkiem starosta Pac; w końcu, że w. chorąży Rzewuski stanął na czele 600 ludzi Radziwiłła i pobił oddział wojska rossyjskiego.

Przybyły od księcia Radziwiłła w niedzielę kuryer potwierdził wszystkie te wiadomości. Ambasador był bardzo niezadowolony z księcia Radziwiłła za to wszystko, mimo iż tenże w liście swoim zapewnia, iż ciągle żywi te same uczucia dla Rossyi i jest ciągle na rozkazy księcia Repnina. Ten, podmówiony przez króla i familię, nie posiadał się z gniewu i gotów był wydać rozkazy wojsku do atakowania księcia Radziwiłła. Ale niepodobna przecież było wystąpić w ten sposób przeciw marszałkowi konfederacyi generalnej, który podpisał konstytucyę.

Skończyło się tedy na tem, że przyjmując do wiadomości oświadczenia Radziwiłła, wysłał do niego pułkownika Carra z poleceniem, aby go nie odstępował i przywiózł na sejm do Warszawy.

Niespodziewany wyjazd pp. De la Roche i Saula może być uważany za przepowiednię bliskiej wojny z Portą. Otrzymali oni kuryerem rozkaz opuszczenia Warszawy w ciągu 24 godzin i przyspieszenia swojej podróży tak, aby we dwa tygodnie mogli już być za granicami Rzeczypospolitej. Pożegnali się tylko ze mną, porozumiawszy się, że będą sekretnie korespondować, wysyłając mi listy do Drezna pod adresem p. Georgi. Jeżeli Wasza Królewiczowska Mość uzna to za właściwe, to prosiłbym bardzo o polecenie odbierania tych korespondencyi i o przysyłanie mi ich po odczytaniu przy swoich depeszach.

Wymienieni rezydenci wyjechali stąd za paszportami ambasadora rossyjskiego Repnina, któremu oświadczyli, iż otrzymali od swoich dworów rozkaz wyjazdu.

Listy z Paryża zawiadamiają o przybyciu biskupa kamienieckiego do tego miasta, gdzie ma być przyjmowany z wielkimi honorami. Dwory rossyjski i tutejszy bardzo są niezadowolone z tego, widać zatem, że nie sama tylko Porta Ottomańska gotowa jest do rozpoczęcia wojny. Jestem pewny, że dwór saski skorzystać z tego wszystkiego nie omieszka; życzę tego i pragnę, jako wierny sługa Waszej Królewiczowskiej Mości.

P. Essenius złożył tu królowi listy księcia administratora oraz listy księcia elektora z zawiadomieniem o objęciu rządów elektoratu.

Po odjeździe pp. De la Roche i Saula już drugi kuryer przybywa z wiadomościami od Branickiego, że Tatarzy posuwają się ku Polsce, oraz że on wskutek tego cofać się musi ze swemi wojskami. Wiadomość ta sprawiła wielkie wrażenie. Donoszą z Konstantynopola posłowi szwedzkiemu, że w. wezyr objął już swój urząd i że wojna stanowczo postanowioną została. Taką samą wiadomość odebrał poseł angielski, a będąc osobistym przyjacielem króla polskiego,

bezzwłocznie mu ją zakomunikował. Kiedy król zapytał go, co o tem sądzi, poseł odpowiedział, iż Porta zacznie niezawodnie od tego, że ogłosi tron polski za wakujący, oraz za nieważne to wszystko, co postanowione zostało od czasu bezkrólewia.

Wasza Królewiczowska Mość może sobie wystawić wielkie zaniepokojenie króla z tego powodu, tem więcej, że nie cieszy się uznaniem powszechnem, nie jest wcale kochany przez naród, oraz nie ma przyjaciół, którymby mógł zaufać. Jeden z jego stronników mówił mi, że królowi nie pozostaje chyba nic innego, jak schronić się do krajów imperatorowej.

Byłem u ambasadora rossyjskiego, kiedy król zawiadomił go piśmiennie o ruchach Tatarów. Wpadł on z tego powodu w gniew i wysłał sztafetę z rozkazami do wojsk, w tamtych stronach konsystujących, aby tu natychmiast przybyły. Od chwili otrzymania tych niepokojących wieści, nie może być mowy o sejmie. Żaden z magnatów, ani posłów nie przybył tu jeszcze dotąd i zdaje mi się, że nie przybędzie tu wcale.

Postanowionem zostało, że instygator koronny, Krajewski, jako poseł inflancki ze stronnictwa królewskiego, mianowany będzie marszałkiem sejmu. W razie nadejścia kilku tysięcy wojsk rossyjskich, będziemy mieli drożyznę nadzwyczajną i dlatego wszyscy, nawet ambasador, myślą zawczasu o zaopatrzeniu się w artykuły żywności.

Rezydent angielski otrzymał wiadomość przez kuryera z Wiednia, że Obrezkow, poseł rossyjski w Konstantynopolu, został wezwany przez sułtana, a po godzinnem oczekiwaniu zapytano go, czy może oznaczyć dzień, w którym wojska rossyjskie opuszczą Polskę. Kiedy oświadczył, że nie może tego uczynić, gdyż właśnie oczekuje dyspozycyi od swego dworu, kazano mu wyjść. Zatrzymany następnie jeszcze przez parę godzin, wezwany został powtórnie dla wysłuchania następującej deklaracyi: „że skoro Rossya nie dotrzymała wielokrotnie ponawianych obietnic w przedmiocie wycofania wojsk swoich z Polski, a przeciwnie używa tych wojsk do wykonywania ucisku i ograniczania swobód Rzeczypospolitej, przeto Porta Ottomańska uważa się być w prawie do sparaliżowania tych złych intencyi Rossyi i wypowiada jej wojnę, wskutek czego p. Obrezkow z całą swoją rodziną ma się udać do więzienia.“

Ambasador Repnin konferował w tych dniach z księciem wojewodą ruskim, który mu oświadczył, że miał złych doradców przy tworzeniu konfederacyi radomskiej. Gdyby był trzymał z nimi, byłby uniknął tych smutnych następstw, które teraz tak go niepokoją.

(Ciąg dalszy nastąpi). X.

KRZEMIENIEC.

Z dziejów oświaty w Polsce.

(1805—1832).

IV.

„Materyie z nauk" — czy i o ile zaprowadzono w nich zmiany — profesorowie — podręczniki.

(Ciąg dalszy).

Prócz wymienionych już przedmiotów trzeciego dwulecia należały tu przypuszczalnie: historya i literatura rossyjska, literatura francuska, prawo krajowe i rzymskie; wszystkie wykładano w szerokim zakresie; pierwsze trzy na obu kursach, ostatnie dwa na przemianę: jednego roku krajowe, drugiego — rzymskie.

Historyę rossyjską — po ogólnym wstępie — dzielono na trzy okresy: pierwszy sięgał do Włodzimierza i kończył się na Rossyi w podziałach; drugi — do Jerzego II. i najazdu Tatarów; trzeci — do czasów Jana Wasylewicza I.

Literatura rossyjska w 1816 r. zaczynała się od historycznego porównania języków rossyjskiego i polskiego; dalej następował ogólny wstęp, podział pism poetycznych i prozaicznych na właściwe im rodzaje; w końcu obszernie nader objaśniano na licznych przykładach znaczenie wiersza lirycznego, opowiadającego i dramatycznego. W trzy lata później — obok historycznego i filozoficznego porównania obu języków — wiele czasu poświęcano poetom i prozaikom rossyjskim, zakończyły zaś naukę ćwiczenia pisemne uczniów.

Wykład prawa krajowego dzielono na trzy główne części: Pierwsza z nich omawiała prawa osobiste; treścią drugiej były prawa rzeczowe (o rzeczach i prawie rzeczowem w ogólności: o prawach rzeczowych bezwzględnych, względnych; o przestępstwach i karach);

trzecia traktowała o sądach i przewodzie sądowym; kończyła zaś całkowity wykład historya prawa. Taki sam podział i metodę nauczania zastosowano również na katedrze prawa rzymskiego.

O profesorach obu ostatnich przedmiotów mówiliśmy poprzednio, w grupie prawniczej liceum krzemienieckiego. Z kolei wypadnie obszerniejsze nieco wzmianki poświęcić Czechowi, Schejdtowi i ich następcom; jak również nauczycielom literatury, co najgłośniejsze i najpopularniejsze w kraju imiona, w rzędzie swych pracowników zgromadziła.

Doktor filozofii, Józef Czech, był — jak wiadomo — pierwszym profesorem matematyki wyższej i zarazem pierwszym dyrektorem szkół gubernii wołyńskiej. Jak bardzo Czacki pragnął go widzieć u steru swojej szkoły, jak zabiegał, prosił i tłómaczył obustronny z tego pożytek — rzecz już wszystkim dobrze znana. Czech niedługo sprawował rządy dyrektora wołyńskiego gimnazyum. Krzemieniec to ostatnia epoka pracy trzydziestoletniej człowieka niemałych na polu oświaty zasług, człowieka, którego śmierć otoczenie całe boleśnie nader dotknęła. — Urodzony w Krakowie 1762 r., po ukończeniu studyów, jako młodzieniaszek wysłany został w roli nauczyciela do szkół wydziałowych lubelskich, urządzonych na nową modłę, gdzie przez przeciąg jednego roku uczył w klasie pierwszej przedmiotów tejże przepisanych. Ale już teraz odzywać się w nim poczęła żyłka do nauk z zakresu wyższej matematyki, której tajniki z niebywałem zgłębiał zamiłowaniem. Korzystając więc z nadarzającej się przemiany nauczycieli, przez przeciąg lat trzech w szkołach lubelskich, a następnie rok jeden w płockiej, uczy początków ulubionego przedmiotu, t. j. geometryi. Z kolei, wezwany na nauczyciela tejże do szkół przygłównych krakowskich, dał się bliżej poznać i odpowiednio ocenić sferom, okalającym krakowską akademię, następstwem czego było wezwanie przyszłego dyrektora wołyńskiego gimnazyum do objęcia katedry w owej najpoważniejszej szkole, na obszarach ziem polskich rzuconej. W r. 1791 został właśnie zastępcą profesora wyższej matematyki, po śmierci zaś Jana Krusińskiego mianowany profesorem nadzwyczajnym, a zatwierdzony (1797 r.) przez nowy rząd, staje się jednym z najczynniejszych pracowników akademii krakowskiej, piastując równocześnie godność zwyczajnego profesora matematyki, pomocnika w obserwatoryum i sekretarza akademii.

Zaburzenia, jakie około tego czasu w skołatanej szalały Polsce, wpłynęły nader ujemnie i na losy tej szanownej instytucyi naukowej. Że zaś równocześnie cesarz Aleksander I. — pod wpływem najbliż-

szego otoczenia — o reformach szkolnych myśleć zaczął, a Tadeusz Czacki — ze stosownej chwili korzystając — gimnazyum wołyńskie założył, tu więc na kresach, zdala od stolicy Piastów i Jagiellonów, w placówce urządzanej niegdyś przez zapobiegliwą i niesympatyczną Bonę, nadarzała się i Czechowi sposobność pożytecznej dla dobra ogółu pracy. We wrześniu 1805 r. obejmuje on zwierzchni zarząd nowo-otwartej szkoły i sprawuje tenże po 24. listopada 1810 r. — Tutaj to w chwilach wolnych od zajęć, z piastowaną godnością ściśle skojarzonych, w zacisznym, białym dworku, przygotowuje do druku *Krótki wykład arytmetyki*, jak również tłómaczenie *Początków teoryi Euklidesa* [1]; tutaj — kochany i szanowany powszechnie — kończy doczesną wędrówkę.

Śmierć najbliższych członków rodziny, śmierć długoletniego kolegi i przyjaciela — profesora Schejdta, dobiły spracowanego starca. Nic nie pomogły pielgrzymki do miejsc kuracyjnych, opieka i troskliwość lekarzy, gimnazyum straciło swego zwierzchnika na zawsze, cząc pamięć jego z wielką uroczystością w żałobnym obchodzie 28. kwietnia 1811 r. Gorące wspomnienie poświęcił swemu koledze Euzebiusz Słowacki, profesor wymowy [2]; profesor zaś literatury, ks. Aloizy Osiński, wygłosił egzortę, pełną zapału i uznania dla nieboszczyka, rozpoczynając ją od słów: „dobrych prac chwalebny jest owoc“. Wspomniawszy, iż do ś. p. Czecha zastosowaćby można powiedzenie króla Dawida — „nieprawość miałem w obrzydzeniu“ — dodaje, że wraz z przezacnym prefektem Jarkowskim zasłużyli się wielce około dobra gimnazyum: „można śmiało powiedzieć, że ta szkoła winna zmarłemu i pełnemu wszelkiey zacności Współpracownikowi chęci chwalebne i trafne zapobieżenie wielu nieprzyzwoitym skutkom, mogącym wyniknąć.“ Jako godnego następcę na posadzie dyrektora wymienia ksiądz profesor Jana Nepomucyna Lerneta, co „przyjazny oświeceniu, bo sam uczony, pełen chęci szlachetnych, bo część majątku znaczną dla nauki i szczęścia ubogich zapisał“ [3].

Wracając jeszcze do Józefa Czecha, zanotować należy, że liczne towarzystwa naukowe — w uznaniu zasług na polu matematyki położonych — zaliczyły go do liczby swoich członków. Należał on i do warszawskiego Tow. przyj. nauk, z tej też racyi na posiedzeniu, w dniu 10. stycznia 1814 r. odbytem, poświęca prezes. Stanisław

---

[1] Śniadecki Jan: Pisma rozmaite. Wilno 1818. T. II. 44.
[2] *O życiu i pracach uczonych Józefa Czecha* . . . Wilno 1811.
[3] *Kazanie na obchód pamiątki Józefa Czecha.* Krzemieniec.

Staszic, ciepłe wspomnienie krzemienieckiemu dyrektorowi, dodając równocześnie, że wśród nowo-wybranych członków towarzystwa znajduje się i przyszły profesor tejże szkoły — Aloizy Feliński [1]).

Jak wielkiem było pragnienie Czackiego, by Józefa Czecha do Krzemieńca zwokować, tak wielkim był żal, że zbyt krótko nieboszczyk tu pracował. Odezwa starosty, skierowana do grona profesorów i wychowańców gimnazyum, może być klasycznem świadectwem tak uczuć Czackiego, jak i zasług Czecha, który Jana Śniadeckiego „dokładność w tłumaczeniu prawd Matematycznych przeniósł na naszą ziemię (t. j. na Wołyń), a tę samą iasność w pojęciu i wyłożeniu przekonania, przeniósł równie w sprawowanie Rządu“. „Wyłożywszy, co wspólny żal i szacunek wymaga“ — postanawia dalej Czacki: „1) Będzie dla żałobnego obrządku w Kościele Gimnaziowym wyznaczony dzień. Uczniowie i Nauczyciele w żałobie, podług możności będą się znaydować na tey smutney uroczystości. J. X. Professor Literatury będzie miał kazanie, a Profesor Wymowy pogrzebową mowę. 2) Zanoszę prośby do nayszanownieyszego Pasterza, aby Duszę zmarłego modlitwom Diiecezii polecić raczył, a w każdey szkole Powiatowey tych trzech Gubernii, z których szczególniey młodzież w Krzemieńcu doskonaliła się, będzie żałobne nabożeństwo i mowa pogrzebowa o zasługach zmarłego. Ta mowa do Gimnazium przesłaną zostanie. 3) Od dnia rozdania tego obwieszczenia przez sześć Niedziel Nauczyciele i Uczniowie nosić będą znaki żałoby. 4) Obraz zmarłego będzie zawieszony w sali Fizyczney. 5) Na marmurze wyryte będą Imię, przezwisko; Urząd, zasługi Józefa Czecha, z tem wyrażeniem, „że każdy co go znał, żałował iego zgonu, i po iego śmierci płacz był powszechny.“ 6) Wiele razy nastąpi odmiana Dyrektora Wołyńskiego Gimnazium, w mowie która miewa się przy oddaniu władzy przyimuiącey ią osobie, maią bydź te wyrazy: „bądź podobnym Józefowi Czechowi a równa wdzięczność publiczna ciebie czeka“. 7) Wdowie i dzieciom w miarę możności upewnimy winną wdzięczność“ [2]).

Że punkt pierwszy z całą powagą wykonanym został — wspominaliśmy nieco wyżej. I to pewna, że szósty w zwyczaj wprowadzono, o czem zresztą przekonamy się przy opisie uroczystej installacyi następcy Józefa Czecha na urzędzie dyrektora szkół gubernii wo-

---

[1]) *Roczn. Warsz. Król. T. P. N.* — Warszawa 1817. T. X. s. 107.

[2]) *Odezwa do Uczniow i Nauczycielow Gimn. Woł.* (druk ulotny, kart 2).

łyńskiej. Że tablicę pamiątkową w kościele gimnazyalnym wmurować musiano, wnioskować można ze wzmianek, napotykanych w korespondencyi Czackiego, a nadto przemawiają za tem twierdzenia rossyjskich autorów, że starosta pragnął w Krzemieńcu urządzić wołyński *Westminster*. Przypuszczamy, iż i pozostałe cztery punkty w czyn z projektu zamienione zostały; trzy z nich nie przedstawiały ani większych kosztów, ani trudności; jeden tylko, siódmy, wymagał pewnego, znaczniejszego nakładu, lecz i temu, przy szczerych chęciach i właściwej wizytatorowi zapobiegliwości, zaradzić łatwo. Sala fizyczna należała w Krzemieńcu do największych i najwspanialszych; odbywały się w niej doroczne popisy i wszelkie inne uroczyste publiczne zebrania, z tych też powodów tutaj zawiesić uchwalono podobiznę pierwszego, nieodżałowanego dyrektora.

Następcami Czecha na katedrze wyższej matematyki zostali Michał Ściborski, a po nim znany nam już Stefan Wyżewski. Pierwszy z nich został w połowie 1812 r. zwierzchnikiem wołyńskiego gimnazyum, o czem zresztą we właściwem miejscu obszerniej pisać będziemy.

Szereg profesorów chemii i historyi naturalnej rozpoczynał w Krzemieńcu Franciszek Schejdt, kolega i przyjaciel Czecha, człowiek pierwszorzędnych zdolności i rzadkiej znajomości wykładanych przedmiotów. Wspominaliśmy o nim kilkakrotnie na poprzednich kartach naszej pracy, podnosząc fakt, jak usilnie pragnęli go Czacki i Kołłątaj widzieć pracującego na kresach. Miał on zostać dyrektorem gimnazyum podolskiego i jedynie zastępczo wykładał w Krzemieńcu. Często jednak inaczej projektują ludzie, inaczej postanawia władza od nich wyższa, i tym razem więc nie danem było Schejdtowi dotrzeć na Podole, umiera na tymczasowej posadzie w Krzemieńcu, pociągając za sobą do grobu długoletniego przyjaciela i stałego w tułaczce po szerokim świecie, towarzysza, a gimnazyum wołyńskie ponosi prawie równocześnie dwie tak olbrzymie straty.

Już dawno umilkły dzwony pogrzebowe, już następca Schejdta miał czas poznać dobrze swoich słuchaczy, kiedy w innym końcu Polski odezwał się głos pochwalny, czczący pamięć zmarłego krzemienieckiego profesora. Na publicznem posiedzeniu warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w dniu 30. kwietnia 1812 r., czyta Michał Bergonzoni, medycyny doktor, były protomedyk, inspektor jeneralny służby zdrowia Księstwa Warszawskiego — rozprawę o życiu i pracach nieboszczyka, członka tej poważnej instytucyi nau-

kowej [1]). „Przypominać pamięć zmarłych wielkich mężów, iest to samo co przypominać ich cnoty i zasługi, przez które byli społeczności użytecznemi: ten zaś był użytecznym, który we wszystkich czynnościach publicznego i prywatnego życia, innego celu nie miał przed oczyma, iak iey dobro i pożytek.“ Takim był Franciszek Schejdt. Urodzony w Krakowie, z miejscowej patrycyuszowskiej rodziny, już w 23. roku życia nietylko włada kilkoma językami, ale posiadał wszystko, czego od nauczyciela wymagać można. W r. 1780 znalazł się też w Lublinie, w roli profesora fizyki, a wykłady jego tyle budziły zajęcia, że wśród słuchaczy — obok uczniów — zasiadało w ławkach wielu starszych okolicznych ziemian. Tak zdolny człowiek nie mógł zbyt długo zostawać na prowincyi i o Schejdcie też nie zapomniano, wzywając go w 1785 r. do Krakowa. Tutaj otwierało się przed nim szersze do badań naukowych pole, pracuje nad elektrycznością i chemią, urządza gabinet mineralogiczny i ogród botaniczny, sprowadza rzadkie okazy flory ze wszystkich stron kraju, powagi naukowe zagraniczne i miejscowi mecenasi oświaty użyczają mu swego poparcia, w wolnej chwili zaś robi wycieczkę do Wiednia, a nadto — otoczony gronem słuchaczy — kollekcyonuje na obszarach polskich zielnik, nierzadko nieznane dotąd odszukując rośliny. Stanisław August, protektor nauk, zaszczyca go swoimi względami, wysyła dla zbadania gór miedzianych i min srebrnych w Olkuszu — słowem profesor Schejdt nie zaniedbuje niczego, by jeno wiedzę polską posunąć naprzód, a zacne mieszczaństwo krakowskie, co — mimo z obca brzmiących nazwisk — wydało z pomiędzy siebie tylu zasłużonych ojczyźnie ludzi, może bez obawy i chwilowego profesora krzemienieckiego do najwybitniejszych zaliczyć swoich reprezentantów.

Rok 1794 innego rodzaju pracę wepchnął na barki uczonego chemika; oto współobywatele krakowscy — znając uczciwość profesora — mianują go sędzią w wydziale kryminalnym. Zmuszony opuścić miasto rodzinne, zjawia się w Warszawie, by tutaj — patrząc na wypadki listopadowe — kompletnie posiwieć. Nowy rząd ofiarowuje mu w Krakowie poprzednio zajmowaną przezeń posadę, równocześnie jednak i Czacki się doń zgłasza z propozycyą dyrektorstwa w podolskiem gimnazyum, co też prof. Schejdt przyjmuje. Szkoła podolska wymagała atoli koniecznej reorganizacyi, nie chcąc więc być bezczynnym, zajmuje szanowny Krakowianin tymczasowo katedrę chemii i historyi naturalnej w gimnazyum krzemienieckiem,

[1]) *Roczniki W. K. T. P. N.* Warszawa 1816. T. IX. str. 459.

gdzie laboratoryum chemiczne, ogród botaniczny, oraz gabinety fizyki i mineralogii zakłada.

Ciężka i ciągła praca zrujnowały organizm, sił odpornych zabrakło, w ostatnich dniach sierpnia 1807 r. prof. Schejdt umiera, choć mógł jeszcze dla dobra szkoły i najbliższej rodziny, którą sam utrzymywał, niejeden lat dziesiątek pożyć. Osierocił żonę i dwoje dziatek, któremi władza zaopiekować się postanowiła.

„Nigdy ludziom nie szkodził i miał dlatego przyjaciół: gdzie się znaydował, nikogo nie zasmucał, miał spoyrzenie miłe i przenikaiące, mowa iego była słodka i przekonywaiąca; uczony bez dumy, mądry bez uprzedzenia o sobie; prawdziwie cnotliwy, a nieprzesadny patryota“ [1].

Katedrę chemii zajął z kolei Tadeusz Szostakowski [2], uczeń Jędrzeja Śniadeckiego, wielkich zdolności profesor, a w tak wysokim stopniu posiadał on dar wymowy, że — choć pamiętano świetne wykłady Schejdta — mimo to zgromadzał na swych prelekcyach licznych słuchaczy, nawet z poza sfer akademickich. Chorowity, często zapadał na zdrowiu, w łóżku witać mu wypadło 1. stycznia 1811 r., o czem wzmiankę znajdujemy w listach Czackiego do prefekta pisanych: „Mam wiadomość od p. Hańskiego, że p. Szostakowski mocno słaby. Widziałem w nim zaród melancholii. Racz prosić p. Siedelmejera, aby go kurował, a jego, aby kuracyę rozpoczął. Szkodaby tak pilnego i dobrego Professora“ [3]. Opieka krzemienieckich powag lekarskich o tyle pomyślnym uwieńczoną została skutkiem, że prof. Szostakowski żył jeszcze do 1826 r., z katedrą chemii rozstaje się on już jednak w 1815 r. Dr. Kaczkow-

---

[1]) Dr. M. Bergonzoni (Roczniki) j. w.

[2]) Najwłaściwszem chyba będzie na tem miejscu powtórzyć wyjątek z korespondencyi Czackiego z Śniadeckimi (*Ręk. Bibl. Jagiel.* Nr. 3102): „Piszę do P. Jędrzeja, aby dał mi kogo na Professora Chemii, ieżli kochany Schejdt niesposobnem będzie, albo żyć przestanie. Jeden, lub drugi wypadek, acz niezmiernie smutny, iest prawie pewnem. Scheidt uczył Chemii i całey historyi Naturalney, o iedney tylko mineralogii mało mówił. Podobno iest rzeczą trudną znaleśdź Professora, którby z taką dokładnością uczył tych przedmiotów, potrzeba tedy dawane lekcye Schejdta podzielić na dwóch, to iest Nauczyciela Chemii i Historyi Naturalney. Pierwszy zapewne iest uformowany, drugiego uformować potrzeba. O pierwszym czekam wiadomości. Drugi pewnie będzie wybranym. Trzeba mu wojażu: ten chciejcie obydwa przepisać . . .“ Tyle z listu. Jak się rzeczy ułożyły, podajemy w tekscie opowiadania.

[3]) *Athenaeum.* Wilno 1848, od. II. T. V. str. 108; Andrzejowski: Ramoty II, 231—232.

ski zapisuje w swych ciekawych wspomnieniach [1]), iż uczony, lecz zarazem nieszczęśliwy pedagog — z zapamiętałej miłości ku starościance Maryi Czackiej — „rozum zupełnie stracił“, konieczna więc było w szkole zastąpić go kim innym. Wybór padł tym razem na Zienowicza. Szostakowski ogłosił drukiem *Pieśni i anakreontyki*, nie samą więc chemią czas wszystek wypełniał [2]).

Katedra mineralogii i botaniki nie od razu obsadzoną została: po paru latach dopiero rozdzielono wzmiankowane przedmioty między dwóch profesorów: botanikę, z dodatkiem zoologii, obejmuje dr. medycyny, pierwszorzędna powaga naukowa, jedyny obcokrajowiec w szkole wołyńskiej — Wilibald Besser; mineralogię — z dodatkiem technologii — Stefan Zienowicz. Ostatniemu powierzono z czasem — jak to wzmiankowaliśmy — wykłady chemii.

W tem miejscu dodać nie zawadzi, że w czasie choroby prof. Schejdta zastępował go w wykładach botaniki młody asystent Jaworski, z którego polecenia odbywa Andrzejowski — podówczas słuchacz jeszcze — z ogrodnikiem Grabowskim wycieczki, mające na celu zgromadzenie okazów do zielników szkolnych [3]). Że Andrzejowski został z czasem asystentem Bessera — zobaczymy poniżej: co się stało z Jaworskim i Grabowskim? nie wiemy. Zdaje się jednak, że z szkołą krzemieniecką rozstać się prędko musieli. Natomiast spotykamy tam pełniących obowiązki ogrodników zakładowych: Karola Witzel'a, faworyta profesora, Niemca, co — skarciwszy nadto gburowato kursistę, zrywającego kwiaty w ogrodzie botanicznym, wywołał w szkole głośną awanturę, i Józefa Hoffmanna. Pierwszy z nich ogłaszał systematycznie w języku polskim katalogi nasion i roślin [4]).

Wilibald Besser, choć Niemiec, wielkie zasługi dla dobra polskiej szkoły i polskiej nauki położył. Urodzony w Insbruku 1784 r., tam też pobiera początkowe nauki. Zostawszy sierotą, spieszy 1797 r. do Lwowa, kończy tutaj gimnazyum i rozpoczyna uniwersyteckie studya; w 1807 r. uzyskuje w Krakowie stopień doktora medycyny, w następnym zostaje asystentem kliniki i — jako taki — odbiera wezwanie Czackiego do objęcia w Krzemieńcu katedry zoologii i botaniki, wraz z dyrekcyą botanicznego ogrodu [5]). W ten sposób znowu

---

[1]) *Wspomnienia* II. 204—5.

[2]) Estreicher: IV. 452. Słowikowski: Wspomn. j. w.

[3]) *Ramoty Detiuka* II. 153—154.

[4]) Estreicher: Bibl. V. 113: Słowikowski j. w.

[5]) Profesor bardzo troskliwie chodził około ogrodu botanicznego. Wielce ciekawym jest: „Regestr Drzew Fruktowych, Roślin i Plantów,

przerzuconym został młody Niemiec na krańce świata zupełnie mu nieznane, gdzie się z czasem zaaklimatyzował, z miejscowym żywiołem spokrewnił, dorobił niemałej fortuny i większego jeszcze rozgłosu. Z drugiej strony jednak przyznać trzeba Czackiemu, że posiadał dar poznawania ludzi, że ze sprowadzonych na Wołyń młodzieńców niejedna w przyszłości pierwszorzędna wyrosła powaga.

W r. 1809 obejmuje dr. Besser wyznaczoną mu posadę w Krzemieńcu; w dwanaście lat później uzyskał potwierdzenie zagranicznego stopnia naukowego; w r. 1834 — po zamknięciu liceum — zasiada w gronie profesorów uniwersytetu św. Włodzimierza, wykłada tam botanikę przez przeciąg lat trzech, jakie mu potrzebne jeszcze były do otrzymania emerytury. Widocznie jednak z miejsc, w których czasowo przebywał, najmilsze wspomnienie zostawił mu Krzemieniec, tutaj bowiem wraca 1841 r., tutaj w następnym umiera. Niezmordowany pracownik, każdą wolną od zajęć profesorskich chwilę poświęcał badaniu flory i fauny Podola, Wołynia i Ukrainy, to też znał ją tak dobrze, jak nikt chyba przed nim a mało kto po nim. Znakomity jego zbiór owadów i biblioteka stały się własnością uniwersytetu kijowskiego. Dzieła wydane przezeń, nadto liczne, by je tu wypisywać; przesyłał je w darze i do oceny warszawskiemu towarzystwu naukowemu, które też wyrazów uznania wołyńskiemu nie szczędziło profesorowi. *Słownik roślin Grekom starożytnym znanych i na polski język przełożonych* — opracował wspólnie ze swoim asystentem, A n t o n i m A n d r z e j o w s k i m [1]).

Ostatni — była to postać, jak zapewniają jego znajomi, bardzo sympatyczna. Charakter szczery i otwarty, gaduła wielki, co zresztą dostatecznie odbija w napisanych przezeń *Ramotach starego Detiuka o Wołyniu*, gdzie i Krzemieńcowi niejeden poświęcił rozdział. Początkowo uczeń Bessera, z kolei tegoż pomocnik, figuruje równocześnie jako profesor rysunków w oddziale pierwszym. *Ramoty*

---

potrzebnych do Ogrodu Gimnaz. wołyńskiego na następną wiosnę (4. III. 1808)." Trudno nam podawać na tem miejscu wszystkie cyfry, zanotujemy więc tylko, że potrzebnych okazów dostarczyły ogrody: kowieński, korecki, annopolski, Borejki, międzyrzecki, mizocki, dubieński, lubomlski, sielecki, porycki, tulczyński i humański. [*Rck. Muz. Czart.* Nr. 3442. T. II. (jak wyż.) Nr. porządkowy 161].

[1]) *Roczniki Warsz. T. P. N.* Warszawa 1823. T. XVI. 33—34, 219; *Słownik lek. polsk.* Warszawa 1833. Zesz. 1. str. 29; S ł o w i k o w s k i: Wspomnienia j. w.: E s t r e i c h e r: Bibl. I.; K a c z k o w s k i: Wspomn. II. 184—186. Obszerny życiorys Bessera umieścił X. J ó z e f W y s z y ń s k i w *Bibl. Warsz.* 1845 r. T. III. str. 179—185.

jego, to najdokładniejsza autobiografia starego Detiuka — jak siebie sam tytułuje. Członek kilku towarzystw naukowych — po zwinięciu liceum — zostaje adjunktem botaniki i zoologii w Kijowie; w r. 1839 pełni obowiązki profesora nauk przyrodzonych w liceum księcia Bezborodki w Nieżynie, gdzie otrzymuje z czasem emeryturę. W licznych wędrówkach po kraju — od górnego biegu Zbrucza aż po morze Czarne — zbiera materyały do przyszłych prac swoich; umiera w Niemirowie, w siódmym dziesiątku lat bieżącego wieku [1]).

W *Pamiętniku galicyjskim* za rok 1821 [2]) umieszczają obaj wyżej wspomniani przyrodnicy: *Uwiadomienie z Krzemieńca*, zachęcające rodaków do tworzenia zielników, które niejednokrotnie są tak wielką pomocą w poznawaniu krajowej flory. Proponując wzajemną wymianę okazów, ofiarowują ze swej strony znaczne korzyści; innym gotowi — za pewną, z góry oznaczoną kwotę — sprzedawać komplety roślin, uporządkowanych i objaśnionych podług ostatnich wymogów nauki. Czy odezwa ta odniosła jaki skutek? powiedzieć nie potrafimy.

Jedną z roślin, odszukanych w wędrówce po kraju, nazywa Andrzejowski — na cześć założyciela szkoły krzemienieckiej — *Czackia* i przesyła jej opis warszawskiemu naukowemu towarzystwu, dołączając w darze cenny zbiór 200 rzadszych okazów flory podolskiej [3]).

Zmarły w Łucku 1856 r. zgrzybiały starzec, Stefan Zienowicz, był — jak wiadomo — profesorem chemii, mineralogii i technologii w liceum [4]), z kolei w uniwersytecie kijowskim, gdzie nawet godność dziekana wydziału filozoficznego powierzoną mu została. Odznaczał się olbrzymią pracowitością, pisał bardzo wiele, był nawet twórcą nowej fizycznej teoryi, lecz dzieła jego u współczesnych naukowych instytucyi nie mogły wywalczyć sobie aprobaty; społeczeństwo — zdala od owej bezkrwawej walki stojące — posądzało w danym wypadku Wilno o zawiść i prywatę; bezstronnie jednak rzecz biorąc, przyznać trzeba, że szanowny profesor czasami w zapale dochodził do dosyć zabawnych twierdzeń [5]).

---

[1]) Sobieszczański: Enc. pow. Org. I. 796; Słowikowski j. w.; *Ramoty Detiuka*, T. I—IV.; W. K. Guldman: Podolska Gub. 49—52, 59 i t. d.

[2]) Lwów, T. I. 228—238.

[3]) *Roczniki W. K. T. P. N.* Warszawa 1822. T. XV. 132, 134; 1823. T. XVI. s. 14.

[4]) Asystentem i zawiadowcą laboratoryum był przy profesorze Zienowiczu: Panomarowicz (Walent. Spektator j. w. s. 280).

[5]) Kaczkowski: Wspom. II. 205; Słowikowski j. w.; Sobieszczański: Enc. pow. Org. XXVIII. 612.

Jak to z zestawienia przedmiotów, wykładanych w trzeciem dwuleciu widoczna, zajmowały tam poważne miejsce lekcye literatury. Nauka tejże obejmowała szeroki bardzo zakres; udzielana uczniom w sposób uniwersytecki, pochwalić się mogła, że jej katedry zajmowali — kolejno po sobie — ludzie nierzadko wielkiej wiedzy, cieszący się uznaniem ogółu. Obok wykładów obowiązkowych omawianego przedmiotu, istniały i nadobowiązkowe. Do pierwszych zaliczano literaturę polską, łacińską i grecką, francuską i rossyjską; do drugich literaturę angielską a nadto, jako przedmioty dopełniające figurowały: język grecki, nauka wymowy francuskiej, gramatyka powszechna i bibliografia. Dodatkowe przedmioty rozdzielano chyba między trzy dwulecia, albo — jak to się działo później — słuchali tychże uczniowie wszystkich kursów — jeżeli *nota bene* zapisać się na odpowiednie prelekcye mieli ochotę. W godzinach, od wszelkich zajęć szkolnych wolnych, ćwiczyli się uczniowie w grze na skrzypcach, w jeździe konnej, gimnastyce, fechtunku, pływaniu i tańcach. Obok tego istniały jeszcze osobne kursa rysunków, malarstwa i kaligrafii; mechaników praktycznych i geometrów. Jeżeli tu dodamy wreszcie agronomię teoretyczno-praktyczną, wykłady hygieny i wakcyny (szczepienia ospy) — da nam to przybliżone pojęcie, w jak szerokich rozmiarach została w czyn wprowadzoną myśl projektu Czackiego i Kołłątaja. Nie powstały wprawdzie ani szkoła chirurgów, ani guwernantek, ani parafialnych nauczycieli, lecz i to, co uczyniono — było już w ówczesnych warunkach czemś bardzo wielkiem, na uznanie — w całem znaczeniu słowa — zasługującem. Gdyby Czacki dłużej pożył, gdyby postępowanie rządu nie wywołało zbrojnego ruchu, możeby i reszta projektu, odpowiednio na lepsze zmieniona, do skutku doprowadzoną została. Obydwa wypadki stanęły temu na przeszkodzie, drugi wywołał nadto silną reakcyę, następstwem której było uśmiercenie polskiego liceum wołyńskiego, a powstanie rossyjskiego uniwersytetu w Kijowie.

Na katedrze literatury greckiej spotykamy Krakowianina, magistra filozofii, Michała Jurkowskiego, wykładającego zarazem dodatkowo: język grecki, encyklopedyę filologiczną, starożytności greckie. Zapalony filolog i niepospolity znawca greczyzny, uczy w Krzemieńcu od początku do końca istnienia szkoły Czackiego, zapracowując swoją gorliwością na słowa uznania i pochwały ze strony zwierzchników. I tak n. p. doniósł w 1821 r. Franciszek Rudzki, bawiącemu w Paryżu księciu kuratorowi, o dodatniej działalności profesora; d. 16. kwietnia nadeszła do Krzemieńca odpowiedź, skreślona przez przybocznego sekretarza Adama Czartoryskiego. Powta-

rzamy z niej najwięcej interesujący nas w danym wypadku ustęp: „Xże bardzo był kontent, czytając w liście pana, że p. Jurkowski oprócz kursu obowiązkowego daje uczniom, przez samą gorliwość tylko, lekcye krytyki i hermeneutyki. Takiej to gorliwości szkoła do wzrostu potrzebuje...“ [1]) Nie jest to wypadek odosobniony.

Po zamknięciu liceum zostaje Jurkowski, w roli emeryta, dalej na miejscu, gdzie też i umiera pięknego doczekawszy się wieku. Kształcił się w krakowskiej Akademii i zagranicznych uniwersytetach; był czas jakiś profesorem języka greckiego i zastępcą prefekta w krakowskiem gimnazyum akademickiem, ztąd powołany do Krzemieńca. Z prac jego największa, to *Słownik grecko-polski i polsko-grecki;* zaczął on tenże drukować w 1830 r. w Krzemieńcu, ale zaszłe około tego czasu wypadki nie pozwoliły dzieła do końca doprowadzić [2]). W r. 1862, za staraniem margrabiego Wielopolskiego, miał Żupański w Poznaniu wydać drugą edycyę słownika, z uzupełnieniami Wannowskiego i Węclewskiego; projektowano całość wtłoczyć w 160 arkuszy druku. Obok omawianej pracy ogłosił Jurkowski *Antologię grecką* — podręcznik dla uczniów gimnazyum wołyńskiego, oraz rozprawę: *O Demonach, czyli Geniuszach u filozofów greckich w stosunku do duszy człowieka* [3]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Michał Rolle

---

[1]) *Rękop. Bibl. Jagiel.* Nr. 4569. (Papiery F. S. Rudzkiego).

[2]) Obszerniejszą i bardzo przychylną wzmiankę o *Słowniku* prof. Jurkowskiego znajdujemy w *Athenaeum.* Wilno 1844. T. V. 216—219.

[3]) Estreicher: Bibl. II. 308; Słowikowski j. w.; Sobieszczański; Enc. pow. Org. XIII. 544.

ZARYS
USTROJU PAŃSTWOWO-SPOŁECZNEGO RUSI
w XI. i XII. w.

(Dokończenie).

2. Źródła produkcyjne i ich charakter; Gospodarstwo i zagroda rolnika; Miary i wagi; Pszczelnictwo; Bobrownictwo; Chów zwierząt.

Gospodarstwo rolnika XI. w. w północno- i południowo-wschodniej Rusi bardzo było podobne do dzisiejszego włościańskiego pod względem typowego urządzenia — nie prowadzenia i organizacyi, chociaż i w tym względzie dużo zachowało się wspólności. Całe owoczesne gospodarstwo zwało się domem a łącznie z budynkami niezbędnymi, chałupą, inwentarzem żywym i martwym stanowiło jedną całość [1]), którą „ospodar", „ospodin" rozporządzał według własnej woli. Chałupę, znajdującą się w tej zagrodzie, nazywano w okolicy lesistej kletią (klet'), niedaleko było gumno, obok kleti chlew: na gumnie prastary magazyn zbożowy Słowian, zwany jamą [2]). Budynki gospodarskie były ugrupowane na jednym dziedzińcu, w okół kleti, jak i teraz, klet' zaś do południa zwróconą była. Charakterystyczny ten zwyczaj budowania domów do słońca

---

[1]) Kucharski: Ant. mon. 25. 48. „Aże kto umiraja rozdzielit dom, na tomże stojati."

[2]) Klet' = dom mieszkalny, zbudowany w zrąb. Wyraz pochodny od klecić, składać w pewnym porządku kloce, kawałki drzewa. Gumno = (um) = (g)umno = rezultat umna, umienia, umiejętności gospodarskiej, znajomości fachowej. Litera *g* często nie wymawiała się wcale, zlewając się z samogłoskami, których była przedłużeniem. Nie twierdzę, tylko szukam wytłómaczenia. Może wreszcie wyraz ten pochodzi od imienia, mienia, miejsca, gdzie bywał złożony majątek, własność rolnika. Skądby miał pochodzić chlew — nie wiem. Niezawodnie jednak, że musi mieć związek z wyrazami chleb i gleba.

przechowuję się dotąd we wsiach słowiańskich. Przejeżdżając wsie południowej Rusi, widzi się z jednej strony cały szereg chałup, tylną częścią do drogi zwróconych i wysmarowanych żółtą gliną, gdy front i wnętrze białą gliną lub wapnem bielone. Co do budownictwa spostrzegamy w ogóle odrębny typ domu mieszkalnego, charakteryzujący się krytymi gankami, które tworzyły bądź portal grecki, bądź kolumnadę. Dodać nawiasem godzi się, że styl taki przechowuje się dotychczas w południowo-wschodniej Rusi, a nawet dalej w głąb sięga. Widać go w zastosowaniu w dworach i dworkach szlacheckich po miasteczkach, a niekiedy całe wsie są w ten sposób budowane. Domy z górnicą, którą Niemcy, cywilizując Słowian, przerobili na dörnice, a Ruś dotąd zwie horiszczem, u Rusi północnej są dotychczas w użyciu; u stepowej, południowej Rusi przechowała się tylko nazwa [1]).

W snopie zboże składano tylko w gumnie, w stożkach, stogach, w stertach, w ziarnie — szczególnie: jeżeli to miały być zapasy na dłuższy czas — przechowywano w jamach, gdzie, na wypadek wojny, składano wszystko, co miało wartość a przechować się w ziemi dało [2]).

Rolnictwo w owe czasy nie stanowiło zajęcia tak ściśle odosobnionego i zamkniętego wyłącznie w produkcyi roślinnej, jak się zdarza niekiedy teraz w krajach o rolnictwie wysoko posuniętem

---

[1]) Opisy znajdzie czytelnik u Sieniawskiego: *Pogląd na dzieje Słowian*. 355; u Aug. Haxthausen'a: *Studien über die in. Zust. d. Volksleben und insbesondere die ländlichen Einricht. Russland's*. 1847, 1852.

[2]) „Gdy się odgłos wrzawy wojennej rozniósł — powiada Helmold — (patrz *Kron. słow.* 258), wtedy zboże z plew oczyszczone, złoto, srebro i wszelkie kosztowności chowają w jamy, żony zaś i dzieci chowają bezpiecznie po warowniach w lesie.“ Jamy takie opisuje na Białej Rusi i Moskwie Gwagnin (*Kron. Sarm* 217), mówiąc, że jedni zsypują zboże do szpichlerzy, inni do jam, do lochów podziemnych, gdzie składano w ogóle zapasy żywności obok kosztowności. Jamy takie były o otworze owalnym, niewielkim, rozszerzające się w głąb, wypalone słomą wewnątrz, aby nie było robactwa i wilgoci. W dzisiejszej Rusi południowo-wschodniej, która skutkiem położenia swego najdłużej była narażoną na niepokoje ze strony sąsiadów stepowych, najdłużej przechował się ten zwyczaj ludu wiejskiego, a dziś nawet jamy służą, jako schowek na kartofle i buraki. W Kijowie, na górze Wzdychalnicy, gdzie niegdyś stał zameczek litewski, w czasie plantowania góry, odkryto właśnie taką jamę ze szczątkami zboża. (Zakrzewskij: *Opisanije Kijewa*. Moskwa 1868, t. I.).

lub stojącem na szczeblu gospodarstwa rabunkowego. Wspierało się ono o inne gałęzie produkcyjne, łączyło się z niemi ściśle i pewną całość wytwarzało. Mam tu na myśli pszczelnictwo, bobrownictwo, jakoteż hodowlę zwierząt domowych, o czem niezadługo mówić będę.

Wspominaliśmy już o wierwi, jako mierze ziemi, która dotychczas utrzymała się w Rossyi[1]). Dodać do tego musimy, że wierw, jako miara, przechowała się także na Litwie i jeszcze w XVI. w. powszechnie była używaną[2]). Ponieważ gmina nosiła także urzędownie, bo w prawodawstwie, nazwę werwi, nasuwa się pytanie, skąd mogła powstać ta identyczność nazw? Odpowiedź na to pytanie stoi poniekąd w związku z pewną formą własności ziemskiej i charakterem jej posiadania. Jużci, skoro istniały nazwy seło, obcza i mir na określenie pewnego skupienia ludności, to każda z tych nazw musiała pierwotnie czemś różnić się od siebie, posiadać jakieś cechy odrębne, sobie właściwe. Co do werwi, sądziłbym, że nazwa ta, po za pewnemi prerogatywami lub prawami społecznemi, wskazywała na sposób użytkowania ziemi wymiernej, mierzonej, co dla ludności zarobkującej, że tak powiem, n. p. zakupów, szukających ulokowania sił swoich przy gospodarstwie rolnem, szukających spółki, połownictwa, było niejako gwarancyą materyalną, że na wymierzonej ziemi łatwiej się znajdzie prawdziwy stosunek między włożoną pracą a zyskiem. W każdym razie zdaje się nie ulegać wątpliwości, że wierw oznaczała gminę, posiadającą ziemię wymierzoną w stosunku na pługi i ilość wysiewu[3]). Mniejszą miarą długości był łokieć (łokot')[4]).

---

[1]) Patrz: Rozd. Gmina i jej charakter. Przypis. wierw.

[2]) Ustawa ekonomiczna z r. 1557 przepisuje pomiar na morgi, pręty i sznury. „A chcąc kto jeszcze w tem nieumiejętny wiedzieć, jakim obyczajem włoki, morgi i pręty są mierzone, z tego rozdziału i próby niżej opisanej snadniej się sprawić a naostatek każdy domyśleć się może. Najprzód sznur ma być wzdłuż kupieckich łokci 75, z których dzieląc najprzód po łokci 7½ działu w sznurze, za łokcie trojakie: kupieckie, prętowe i ziemne, t. j. wyciągnąwszy łokcie jeden wzdłuż a w poprzek drugi, masz łokieć jeden kupiecki, a gdy wyciągniesz półosma łokcia wzdłuż a łokieć w poprzek, to jest łokieć prętowy. Gdy zaś wszystek wyciągniesz wzdłuż i łokieć w poprzek, masz ziemny łokieć; a gdy trzy sznury, jeden wzdłuż, jeden w poprzek, czyni prętów 30 albo morg jeden. A gdy wyciągniesz sznurów 30 wzdłuż a trzy poprzek, uczyni morgów 30 albo włoka jedna. (Czacki: *O liter. i pol. praw.* t. II., 223, przyp.).

[3]) Kałaczów: Izślied. o R. P. XXXI., str. 91.

[4]) Kucharski: Ant. mon. 37, 76.

Z miar sypkich większych *Prawda Ruska* cytuje kad' (kadź) [1] — jaką ona jednak była, określić niepodobna, gdyż wiemy z doświadczenia, że prawo zwyczajowe trzymało się w różnych zakątkach kraju swoich miar objętości, pomimo jednakich nomenklatur, a ujednostajnienie miar i wag dziś jeszcze dokonanem nie zostało w całej Europię. Z mniejszych miar znane były uborek (u b o r o k), w i a d r o, ł u k n o i k o r c z a k [2]). Do miar objętości należy zaliczyć także cytowany w *Prawdzie Ruskiej* „g o ł w a ż e ń". Każdą z tych nazw dziś domyślnie tylko określić możemy i to dzięki okolicznościom, w jakich użyte zostały. Z wyznaczenia dziennej prowizyi dla urzędników sądowych i dozorców książęcych, możemy przypuszczać, że u b o r e k wynosił tyle, co garść podwójna [3]); ł u k n o musiało wynosić około 16 garncy dzisiejszych, zważywszy, że jedno ł u k n o wyznaczano dziennie na cztery konie. G o ł w a ż e ń była to zapewne mała główka soli warzonki lub nieznana nam dzisiaj zupełnie miara zwyczajowa, która dziennie na dwoje ludzi wystarczyć miała. K o r c z a k musiał być czemś podobnem do kobiałki z kory lipowej lub innej, powszechnie używanej na Polesiu i w innych lesistych okolicach do jagód, a nawet według źródłosłowu od k o r y pochodzi.

O wadze nie znajdujemy dostatecznych danych. Wprawdzie Włodzimierz W. polecił w swojej ustawie „miery i wiesy światititielem blusti", ściągało się to jednak do dziesięciny kościelnej: w ustawodawstwie zaś obowiązującem, jaką była *Prawda Ruska*, ani słówka o wadze nie ma. Słusznem przeto będzie sądzić, że ona była wyjątkowo tylko używaną. W życiu codziennem zastępowała ją miara, jako forma bardziej konkretna i łatwiejsza w zastosowaniu. Dziś jeszcze w głuchych zakątkach Rusi, zarówno północnej jak i południowej, w domowem użyciu włościan waga prawie nie jest znaną. W urzędowym dokumencie znajdujemy ją dopiero w XIII. w., w traktacie księcia smoleńskiego Mścisława z Niemcami, jest mowa o p u d z i e — ale to już do naszego okresu nie należy.

Teraz możemy przejść do niektórych gałęzi produkcyjnych, z rolnictwem owoczesnem związanych lub związek mających. Zacznę od p s z c z e l n i c t w a. Było ono prastarem zatrudnieniem Słowian. Obfitowały w pszczoły północne okolice — względnie do kolonii greckich, rozrzuconych na pobrzeżu Czarnego morza i Taurydy —

---

[1]) A. Kucharski: Ant. mon. 5, 7.

[2]) Bielowski: Monum 675.

[3]) Dziś jeszcze na Rusi znana miara zwyczajowa pod nazwą p r y h o r s z c z, odpowiadająca u b o r o k o w i.

a Herodotowi opowiadali koloniści, że u barbarzyńców północnych mnogość pszczół uniemożliwia wprost życie człowiekowi. Jak w każdej legendzie i w tej dużo było prawdy. Że Ruś późniejsza obfitowała w pszczoły, mamy liczne dowody w handlu woskiem; miód użytkowano w domu, wosk szedł do Carogrodu, do cesarstwa wschodniego, gdzie stanowił bardzo poszukiwany przedmiot handlu. Igor, zawarłszy pokój z Grekami, posłów cesarskich obdarowuje skórami, niewolnikami i woskiem [1]: Olga, żona Igora, obiecuje cesarzom greckim, że z powrotem na Ruś przyszle im „niewolników, wosk i skóry" [2] — skóry należy rozumieć w znaczeniu futer. Środkowym punktem owoczesnego handlu Grecyi z Rusią był Perejasławiec nad Dunajem, ulubione miejsce pobytu Świętosława, syna Igora i Olgi, do tego stopnia, że chciał w tę stronę przenieść nawet stolicę swoją. Tam — powiada — schodzą się wszystkie dostatki: z Grecyi złoto, pawołoki, wino; z Czech i Węgier — srebro i konie, a z Rusi — skóry, wosk, miód i służba [3]. Musiała być przeto obfitość pszczół, skoro była obfitość wosku. Jak je hodowano do XI. w., nie mamy pojęcia, dopiero z chwilą, kiedy prawodawstwo krajowe bierze w opiekę pszczoły, przychodzą wiadomości pewniejsze. W owym czasie hodowano je dwojako: w barciach i ulach, a *Prawda Ruska* różnicę tę zaznacza wybitnie, używając dwóch wyrazów: „brt" i „olek". Hodowla prowadzoną była wyłącznie prawie w borach, tak samo, jak w puszczach mazowieckich prowadzono ją jeszcze w XVI. w., na Polesiu kijowskiem nawet w XVIII. a w głuchych zakątkach głębokiego Polesia wołyńskiego dziś jeszcze. Nie natrafiliśmy na ślady organizacyi gminnej pszczelarzy, zjednoczonych w taki sposób, jak organizowali się w gminę bartną w starostwie Przasnyskiem i Ciechanowskiem w XVI. w., jak o tem u Niszczyckiego doczytać się można, ale gospodarstwo pszczelne w borze, bartnictwo było zatrudnieniem tak prostem, że jednako je prowadzono. Hodowano je na drzewach, w barciach, najczęściej „dzianych" czyli dłubanych w sośninie, zarówno w borach, jak i na pojedyńczo stojących drzewach. Gdzie miejsce dla pszczół było dogodne, a drzewa mało lub niezdatne pod barcie dziane, tam zakładano na nie ule, mniejsze zwykle od barci i dające się przenosić z miejsca na miejsce, w miarę obfitości wziątku lub innej potrzeby. Bardzo być może, że ule takie z początku zawieszano na drzewach w pobliżu mieszka-

[1]) A. Bielowski: Mon. pol. hist. I., 596.
[2]) ibid. 605.
[3]) Mon. pol. hist. I., 609.

nia, ażeby utrudnić dostanie się do miodu złodziejom bartnym lub zwierzętom, a potem dopiero przeniesiono do puszcz i lasów; śladu jednak, ażeby ule przy zagrodzie stały, nie znajdujemy, chociaż zachodzi wszelkie prawdopodobieństwo, że tak być mogło ze względu na łatwość przenoszenia ula.

Bory, w których hodowano pszczoły, stanowiły własność osobistą i oddzielone były od siebie miedzami „bartnemi“, — naturalnie, że tytułem do własności było posiadanie i włożona praca. O wspólności „borów“ mowy być nie może tam, gdzie prawodawstwo wyraźnie mówi o granicach [1]). Wszelką szkodę w borze, jako na własności osobistej, prawo karało surowo: gdyż nietylko szkodnik płacił karę za podcięcie drzewa bartnego 3 grzywny, ale w ogóle za wycięcie drzewa w cudzym borze [2]), co naturalnie nie stosowało się do wycięcia drzewa byle gdzie, w lesie, nie należącym do nikogo. Drzewa bartne opatrzone były w znaki, które każdy kładł, jako dowód własności, a zniszczenie ich podlegało także karze sądowej. Miód podbierano w taki sam sposób, jak w puszczach mazowieckich, a dziś jeszcze w borach litewskich; dostawano się na barć przy pomocy „leziwa“, podkadzano pszczoły i miód zabierano. Roje zbierano i osadzano w pustych barciach. Barcie, z których miód wybrano, nazywano „łażonemi“, pełne — „niełażonemi“: różnica ta stanowiła podstawę do kary, wymierzanej przez sąd na złodziejach: „pszczoły łażone“ były tak samo szacowane, jak hodowane w ulach, ze względu na to zapewne, że ule były lub mogły być o połowę mniejsze od barci. *Prawda Ruska* opisuje szczegółowo sposób poszukiwania złodzieja „po śljedu“, zupełnie podobny do tego, jaki znany był jeszcze w XVIII. w. na Polesiu i Litwie [3]).

Po wybiciu pszczół, wosk szedł do handlu, miód — do użytku domowego, a w jaki sposób, zobaczymy to później, gdy mówić nam wypadnie o życiu domowem owoczesnego społeczeństwa.

O bobrach niewiele mamy do powiedzenia. Że w ogóle było ich dużo na leśnych i błotnych obszarach późniejszej Rzeczypospolitej, nie ulega to żadnej wątpliwości. Traktowano ich jako dzikie zwierzęta, na które polowano tak samo, jak na kuny i wiewiórki, a z tego powodu prawodawstwo w opiekę ich nie brało. Gdy stawało się ich coraz mniej, gdyż wiadomo, że bóbr nie godzi się z cy-

---

[1]) A. Kucharski: Ant. mon. 23, §. 43.
[2]) ibid. 38, §. 63.
[3]) Fr. Rawita: Zwyczaje prawne na Polesiu kijow. XVI.—XVIII. w. *Niwa* 1892.

wilizacyą i jako prawdziwy konserwatysta ucieka od niej coraz dalej, a dziś należy do zwierząt, przeznaczonych na wymarcie, — wtedy dopiero wystąpiło działanie prawodawstwa ochronnego. Na Mazowszu stało się to już w XIV. w., gdzie istniały bobrownie książęce, gdzie byli osobni urzędnicy — bobrownicy, których obowiązkiem było czuwać nad bobrami, gdzie ochraniano żeremia, żeremiona i żeremiska, miejsca, gdzie hodowane były bobry: na Litwie stało się to później, bo dopiero *Statut lit.* wziął je w opiekę. Wprawdzie *R. pr.* wspomina o bobrze — ale na tym punkcie zgody nie ma, gdyż najdokładniejszy spis, synodalny, nie mówi nic o nim. Ibn-Chordadba mówi o handlu skórami wydr, w których niektórzy pisarze doszukują się bobrów [1]).

Hodowla bydła i zwierząt domowych w ogóle była, można powiedzieć, na pół dziką, jaką i dziś jeszcze jest w stepach lub puszczach, o ile to dotyczy koni, wołów, krów, owiec, kóz i świń; z ptactwa wymienia *Prawda Ruska* kury i gęsi. Jakkolwiek Konstanty Porfirogenata powiada, że Russowie u Pieczyngów kupują konie, woły i owce [2]), nie można tego brać jednak za prawdę absolutną, zważywszy, że zagarnąwszy ziemie słowiańskie, zastali tam już ludność nietylko osiadłą, ale rolniczą, zajętą uprawą roli, a nawet pobierali od niej podatek od „pługa", „sochy" lub „radła". Nie mogli tedy rolnicy z lasów północnej Kijowszczyzny wędrować na stepy za bydłem pociągowem, lecz je chowali dla własnej potrzeby w domu. Jeszcze co do koni, można się z tem godzić o tyle, że gospodarstwo rolne zadowalniało się w owe czasy, jak i dziś zadowalnia się, bydłem rogatem wszędzie tam, gdzie tylko znajduje się w warunkach pierwotnych; koń dopiero stał się potrzebnym do wojny. Bardzo być przeto może, że z początku kupowano je u Pieczyngów lub wprost robiono wyprawę dla zdobycia stad, jak później robili kozacy u Tatarów białogrodzkich, ale widzieliśmy, że książęta hodowali na swoich folwarkach wielkie stada koni. *Prawda Ruska* odróżnia konia wojskowego, książęcego (kniaż koń) od gospodarskiego i inną cenę naznacza na niego.

Kury i gęsi stanowiły nieodzowną przynależność każdej zagrody wiejskiej, hodowane były przy domu jako nieodłączna potrzeba gospodarstwa domowego, tak samo, jak świnie, prosięta, owce, barany. Jedne z tych zwierząt dostarczały pożywienia, inne siły pociągowej, inne wreszcie wełny na tkaninę i okrycie: w ten sposób nieliczne

---

[1]) A. Bielowski: Monum. I., 17.

[2]) Hruszewskij: Oczerk ist. kijew. ziemli, st. 391.

potrzeby i wymagania tamtoczesnego rolnika zaspokajały się jego własną pracą i staraniem. Krótko mówiąc, każda prawie zagroda wiejska, każde gospodarstwo stanowiło samo dla siebie pewną całość, która wystarczała sobie i umożebniała życie bez obcej pomocy i współdziałania [1]).

Część IV.

IV. Życie domowe.

Życie domowe na Rusi układało się w okresie badanym nader prosto i odpowiadało w zupełności maxymie: wystarczać samemu sobie. Modyfikowało się ono nieco w mieście, gdzie wymiana usług była łatwiejsza, gdzie po za przemysłem domowym powstawały różne gałęzie przemysłu, mające na celu zaspokojenie potrzeb zbytkowych lub nawet niezbędnych, stąd też i rzemieślnik (r e m s t w e n n i k, r e m s t w e n n i c a) był ceniony prawie, jak człowiek wolny. Po za tem, a raczej po za tą garstką, stała inna blizko książąt i na nich zapatrując się, wprowadzała do swego życia codziennego mody, nowości a nawet przepych, strojąc się w greckie p a w o ł o k i i ozdoby metalowe. Carogród był dla Rusi tem ogniskiem cywilizacyjnem, z którego wyszły: prawo (ustawy Jarosława), obrządek religijny, zacządki nauk, kroniki, strój (k r z n o, czapka spiczasta) —

---

[1]) Ażeby dać pojęcie czytelnikom naszym, jakie były ceny zwierząt domowych w XI. w., skorzystamy tu z obliczeń Karamzina. Jeżeli w XI. w., mówi on, grzywna Nowogrodzka w stosunku do srebra równą była grzywnie Smoleńskiej z r. 1228, to przypuszczając, że grzywna równa wartości 10 rs., w następującym stosunku możemy ocenić zwierzęta domowe, wspomniane w *Prawdzie Ruskiej*:

Koń książęcy	rs.	7	kop.	—
„ zwyczajny	„	5	„	—
Klacz	„	6	„	—
Źrebiec nie jeżdżony (2—3-let.)	„	2	„	50
Źrebak (łoszę)	„	—	„	75
Wół roboczy	„	2	„	50
Krowa	„	4	„	—
Bujak trzyletni	„	3	„	—
„ roczny	„	1	„	25
Cielę	„	—	„	50
Świnia	„	—	„	50
Prosię	„	—	„	12½
Owca	„	—	„	50
Baran	„	—	„	50
Rój pszczół	„	1	„	25

a wszystko to mięszało się razem ze zwyczajami i obyczajami miejscowymi, ażeby później wytworzyć tę mięszaninę cywilizacyjną tak charakterystyczną a tak odrębną od cywilizacyi zachodniej. Oświata wschodnia, grecka szła z góry przez książąt, bojarów, duchowieństwo, obyczaj narodowy słowiański siedział u dołu, przy podwalinach państwowych. Za Włodzimierza i Jarosława grecki język był tem na Rusi kijowskiej, czem łaciński na dworach państw zachodnich. Wyższe duchowieństwo było greckie, języka słowiańskiego nie znało prawie, a posługiwało się swoim ojczystym: napisy i sentencye, zdobiące cerkiew dziesięcinną, jakoteż św. Zofię „metropolią Rusi", były w języku greckim: księgozbiory Jarosława były greckie, — on też pierwszy założył przy św. Zofii szkoły, zgromadził skoropisców i tłómaczy i polecił te księgi przekładać na język słowiański.

Przy fundamentach ludowych nic o tej greczyźnie nie wiedziano: do zagród, futorów i siół Polanów, Drewlanów, Krywiczów, Radymiczan, Słowian Nowogrodzkich przedostawało się powoli, wsiąkając w obyczaje to tylko, co miało praktyczną wartość i pożytek. Wsiąkanie to odbywało się od niepamiętnych czasów, od chwili, można powiedzieć, rozsiedlania się kolonistów greckich na wybrzeżach morskich, a potem Rzymian na zachodniej miedzy od Dunaju i Dniestru. Dziś moglibyśmy już oznaczyć dokładnie drogi, któremi wpływy bizantyńskie wędrowały. Niezależnie od tego, pod wpływem warunków miejscowych, geograficznych, orograficznych, ekonomicznych, handlu, charakteru nowo wytwarzającej się państwowości i t. p., wyrabiały się zwyczaje, obyczaje, a nawet potrzeby inne — rodzime, własne; powstawał i kształtował się tryb życia. Do tego życia wnikać powoli począł wpływ religii, modyfikując zwyczaje, a nawet codzienny sposób odżywiania się, gdyż weszły w życie nieznane dotychczas posty.

Na pokarm służyło mięso dzikich zwierząt i domowych; jadano także rybę, prawdopodobnie nietylko gotowaną, lecz także suszoną lub wędzoną, jak to robią dotychczas na Polesiu głębokiem, gdzie jest dużo jezior, sadzawek i rzek. Śladów piśmiennych o rybołowstwie nie pozostało nam żadnych, natomiast wykopaliska dostarczają dużo haczyków, jakoteż innych pomniejszych narzędzi do łowienia ryby [1]).

Żyto i pszenicę umiano już przerabiać na mąkę, bo o otrębach jest mowa u Nestora (otrubi); może znano już młyny wodne, ziarno

[1]) Antonowicz: Cztienija obszcz. Nestora III., str. 16.

zaś przerabiano na mąkę na ręcznych młynach, używanych dotychczas u ludu i znanych pod nazwą **żarna**. Użycie jagieł (pszono, kasza) dowodzi, że znano także narzędzie do wyrabiania jagieł, zwane dziś na całej Rusi **stupą**: inne gatunki krup, n. p. jęczmienne dały się wyrabiać na **żornach**, czyli młynkach ręcznych. Wypiekano chleb, używano soli do potraw, którą, jak się zdaje, znano pod formą dzisiejszej topki, znacznie tylko mniejszej (hołważeń), warzonką — o takiej przynajmniej *Prawda Ruska* wspomina. Do wypiekania chleba używano „fermentu chlebowego“, „zaczynu“, nie drożdży. Jakkolwiek o drożdżach nigdzie mowy nie ma, ani o zaczynie, zważywszy jednak, że ludność wiejska na całej Rusi dotychczas do wypieku chleba posługuje się „fermentem“, „zaczynem“, tem bardziej mamy prawo przypuścić, że i wówczas je znano. Chociaż i możebność drożdży nie jest także wykluczoną, zważywszy, że napoje fermentowane znane były (piwo).

O wódce źródła owoczesne nie robią żadnej wzmianki, ale natomiast jest mowa o piwie i miodzie, jako o napojach codziennego użytku. Z jęczmiennego lub owsianego słodu robiono brzeczkę, którą gotowano z małą ilością chmielu, rosnącego dziko w lasach. Miody także gotowano tylko [1]). Robiono poprzednio tak zwaną „sytę“, czyli płyn miodny, który gotowano z chmielem i fermentowano, gdyż owoczesne miody pitne były trunkiem alkoholicznym, którym upijano się. Jak piwo było trunkiem powszednim, tak miód świątecznym; pijali go na weselach i stypach (tryzna) [2]) zarówno zwyczajni ludzie, jak i książęta w domu i na ucztach, uroczystościach. Jako naczynia służyły przy piciu czasze i rogi [3]). O kształtach ich nic jasnego powiedzieć nie możemy; zapoznać z niemi czytelnika jest zadaniem archeologii.

Z potraw płynnych współcześni cytują tylko **kisiel**. O tem, jakim był kisiel, daje nam pojęcie Nestor, opisując oblężenie Białogrodu (pod Kijowem) przez Pieczyngów za czasów Włodzimierza (r. 997) i fortel, za pomocą którego zdołano się pozbyć oblęgających. Przyrządzano go z owsa, pszenicy a nawet otrębów przez moczenie ziarna w wodzie (**cieża**) i wyciśnięcie mączki, krochmalu; z tego płynu dopiero gotowano kisiel. Raczyli się nim zwykli ludzie, a nawet książęta Pieczyngów jadali go ze smakiem. Prawie pod taką samą postacią znany jest kisiel i obecnie na Rusi, chociaż dawno już

[1]) A. Bielowski: Mon. pol. I., 592.
[2]) ibid. 599.
[3]) A. Kucharski: Ant. mon. 9.

przestał być przysmakiem [1]). Z mięs jadano oprócz zwierzyny wołowe i koninę, wołowe gotowano lub pieczono na węglach rozżarzonych, pokrajane w płatki. Żywiono się w ten sposób szczególnie w czasie wojny. Chętnie używano także koniny, którą spożywano pieczoną na węglach, pokrajaną w zrazy. Była ona jeszcze ulubionem pożywieniem Świętosława [2]). Do płynnych potraw, n. p. kisielu, lub sypkich, jak kasza, używano łyżek z początku drewnianych, a później srebrnych [3]). Drewniane łyżki były w powszechnem użyciu, a srebrnych wyjątkowo tylko używano, ale wyrabiano je już w kraju, przy pomocy domowych rzemieślników. Włodzimierz kazał takie łyżki „kować“ dla drużyny w Kijowie. Wyrabiali je prawdopodobnie złotnicy, którzy nietylko dostarczali ozdobnych rzeczy dla codziennego użytku, ale także uprawiali złotnictwo kościelne, bo, jakkolwiek do pierwszych cerkwi sprowadzano „sosudy“ z Carogrodu, w miarę wzmagania się i szerzenia się religii chrześciańskiej, część ozdób kościelnych sporządzano na miejscu. Oprócz piwowarów, miodowarów zanotować wypada istnienie szewców. Jakkolwiek przeważna większość używała „łapci“ (łapotniki), część drużyny pieszej, w ogóle wojsko znało już buty (s a p o h i, p r o b o s z n i). Zawędrowały one także z Grecyi na Ruś, z Bułgaryi mianowicie. Kiedy wyprawa Włodzimierza na Bułgarów w r. 985 powiodła się, Dobrynia powiadał do księcia: „oglądałem jeńców, wszyscy są w butach; ci dani nam nie dadzą; pójdźmy szukać łapciarzy“ [4]). Jakie jednak obuwie mianowicie nazwano butami i jakie one posiadały formy? — Tego na pewno nie wiemy [5]).

Pojęcie o tem, jak się ubierano w XI. w., możemy sobie wyrobić z fresków w cerkwi św. Zofii w Kijowie, zdobiących wschody, prowadzące na chóry. Pośród mnóstwa alegorycznych i symbolicznych rysunków, o znanych motywach średniowiecznych, są tam także freski o motywach miejscowych, przedstawiające pewne chwile z życia domowego. Zauważyć jednak na wstępie należy, że chwile te przedstawiają przeważnie rozmaite uroczystości dworskie, jakbyśmy dziś powiedzieli, wypadki z życia książąt lub ich otoczenia, nie znane

[1]) A. Bielowski: Mon. pol. hist. I., 674.

[2]) ibid. 606.

[3]) ibid. 672.

[4]) ibid. 628.

[5]) Co do stroju w ogóle wiele samodzielnych wniosków możnaby było poczynić, rozpatrując znany rysunek, p. t. Rodzina Świętosława, z tak zwanej księgi z r. 1073; z kopii jednak tego rysunku trudno to czynić. Skórę na obuwie nazywano u ś n j e, c z e r e w j e. (Hipac. 84, 127).

nam dzisiaj, a znane i popularne śród ówczesnego świata i społeczeństwa. Przyglądając się tym freskom, przychodzimy do przekonania, że malowane one były ręką malarza — Słowianina, znającego to życie i pragnącego je uwiecznić. Gdybyśmy w tej samej cerkwi św. Zofii nie znajdowali skali porównawczej, twierdzenie nasze nie miałoby podstawy. Śród rozmaitych ozdób tej cerkwi widzimy niejako dwa światy sztuki i dwie metody pojmowania jej: w mozaikach i freskach, przedstawiających świętych (Maryę przy studni, św. Mikołaja), przeważa zupełnie sztuka grecka, grecka żywość kolorytu obok suchości i sztywności kompozycyi, jakoteż niewolniczego trzymania się wzorów i przepisów, ustalonych dla malarstwa religijnego.

Równorzędnie z malarstwem religijnem, greckiem, istnieje malarstwo, że tak powiem, świeckie, rodzime, które pod względem kolorytu wzoruje się wprawdzie na Grekach, ale zachowuje pomysłowość, fantazyę i motywa swojskie (zające, dziki, polowania, tańce)[1]. W malowidłach tych więcej swobody, ruchu, życia i realizmu w pojmowaniu tego życia, niż w mozaikach i freskach greckich mistrzów. Pierwotnością pojmowania sztuki freski kijowskie drugiej kategoryi, czyli świeckie, przypominają malarstwo ludowe wielkorossyjskie (łubocznaja żiwopiś). Dzięki tedy tym freskom nieznanych malarzy przechowało się kilka rysów nie dającego się dziś odtworzyć w całości życia XI. w.

Wspomniałem poprzednio o tem, że freski kijowskie przedstawiają przeważnie życie na „kniażym dworze“ — z tego przeto widać, że jest to życie jednostronne, życie nie ludu, nie szerokich warstw, lecz tylko tej nielicznej warstwy, która na „kniażym dworze“ kupiła się, naśladując jego zwyczaje, będące także naśladownictwem. Dla odtworzenia jednak i tego życia trzeba było pędzla nie Greka, lecz Słowianina. Stosownie do świątecznego życia, jakie przedstawiają freski kijowskie, strój jest także świąteczny. Książęta, jakkolwiek na polowaniu, są przedstawieni w hełmie i w ubraniu, naszyciami i ozdobami mocno przypominającem, t. z. „czerkieski“. Resztę figur można podzielić na dwa typy: skoczków i muzykantów. Jedni i drudzy, co do ubrania, odznaczają się tylko większą ozdobnością; jedni mają zarękawki i kryzy wierzchniej sukni, mniej lub więcej naszyciami ozdobione, drudzy noszą taką samą suknię bez ozdób. Krojem swoim nie przypomina ona niczem chlamidy, szczelnie przylega do ciała, noszoną bywa na spodniach, a sposobem no-

[1]) Zakrewskij: Opis Kijowa, t. II. str. 814 i nast., a także *Atlas starożytności Kijowa*, arkusz XII.

szenia, z paskiem w biodrach, mocno podobną jest do koszuli, t. zw. „kacapskiej“. Spodnie bywały szerokie, zwężone u dołu i połączone niejako z obuwiem, krótszem lub dłuższem, stosownie do upodobania. W ogóle obuwie jest bez korków, a sposobem noszenia przypomina znane dotychczas „postoły“ lub meszty nowoczesnych baletników i baletniczek [1]).

Nakrycie głowy spotykamy trojakie: czapkę wyszywaną, przypominającą formą t. zw. koronę, czyli czapkę Monomacha: formę, znaną dotychczas na Rusi, jako magierkę, i wreszcie zawój, na podobieństwo tatarskiego lub tureckiego, tylko niższy i o brzegach nie tak szerokich. Jaki był strój kobiecy — moglibyśmy tylko domyślać się, gdyż tu na miejscu, we Lwowie, nie posiadamy źródeł dostępnych a pewnych, z których można byłoby kilka rysów prawdy zaczerpnąć. Co do północy — na razie nie posiadamy dostatecznych materyałów historycznych, mówić przeto o tej stronie życia nie będziemy.

W czasie zabaw na dworach książęcych, a zapewne i śród ludu grajkowie zajmowali pierwsze miejsce. W XI. w. znano już sześć instrumentów muzycznych: flet, instrument dęty, podobny do znanej u nas surmy bojowej, przedstawiał prostą rurę, wązką przy ustach, szeroką od strony zewnętrznej: talerze metalowe — takiej samej formy i w taki sam sposób używane, jak dzisiaj: gitara, różniąca się od teraźniejszej tem tylko, że nie posiadała brzegów wciętych głęboko, jak przy skrzypcach, w kształcie litery s, lecz brzegi te ku końcowi zaczepienia strun łagodnie zwężały się, tworząc rączkę dogodną do trzymania. Gitara XI. w. przypomina mocno bandurę ukraińską — formą a nawet sposobem trzymania: harfa czy cytra zasadą budowy przypomina nowożytną harfę, jest tylko prostszą od niej co do budowy, nie posiada wygiętych linii: frontowej, górnej piersiowej i dolnej, lecz proste: sposób trzymania jej i grania zupełnie taki sam, jak dzisiaj. Jednym z najciekawszych instrumentów jest smyczkowy, ośmiostrunny, jajowaty co do formy, trzymany zupełnie w taki sposób, jak skrzypce, posiada tylko smyczek nie kabłąkowaty, jakimi były dawne smyczki, lecz prostolinijny, jak teraźniejsze.

Z rozmaitych zabaw ludowych, o trzech zaledwie możemy mieć dokładne pojęcie. Ulubioną zabawą był taniec, — mówię o tańcu na dworze wielkich książąt, — tam najczęściej brano udział w tańcu przez patrzenie. Byli do tego osobni skoczkowie, którzy popisywali się tańcem w obec książąt ku uciesze widzów. Tańce były najczęściej solowe i polegały, bądź jak greckie, na rytmicznych i pięknych

[1]) Atlas archeol. do opisu Kijowa, ark. XII.

ruchach ciała lub, jak niektóre nasze, na ujawnieniu energii i życia [1]). Dwa powyższe typy odtwarzają freski św. Zofii. Drugi typ szczególnie, zarówno ruchem rąk i nóg, jak i całą postawą przypomina teraźniejszego „kozaczka“. Ulubioną rozrywką było t. zw. „dużanie się“ siłaczów, które dochowało się dotychczas w Europie i ujęte zostało w pewne prawa, a w Moskwie znane, jako „kułacznyj boj“, stanowi ulubioną rozrywkę ludową, którą ochładzać niekiedy trzeba siłą broni. Na Rusi zabawa ta dochowała się pod nazwą „kułaczki“ tylko u dzieci [2]). „Łażenie na słup“ dla dostania tam przedmiotów nie potrzebuje chyba żadnych wyjaśnień.

Jednym z głównych czynników ustroju społecznego są małżeństwa. Ze śladów, zachowanych w dotychczasowych obrządkach weselnych ludu na Rusi, zdaje się, iż ogólnym pierwotnym zwyczajem, było porywanie żon. Jestto naturalne następstwo, a zarazem dowód, że osiedleń zbiorowych od razu nie było. Z Nestora widzimy, że ten zwyczaj najdłużej przetrwał u Słowian wschodnich: Drewlanów, Radymiczów, Wiatyczów, Siewierzan i Krywiczan, bo aż do nawrócenia się na wiarę chrześciańską; z tą tylko różnicą w zwyczajach, że Drewlanie porywali dziewice przy wodzie (źródłach, rzekach, studniach), a Radymicze, Krywicze, Wiatycze i Siewierzanie stadeł nie mieli, lecz schodzili się na igrzyska, na pląsy i spiewali różne piesni: tu porywali żony sobie, z którymi już wprzódy umawiali się i mieli po dwie i po trzy żony. Ale gdy ci porywają sobie żony i mają ich po kilka, Polanie, obok nich osiedleni, mają stadła małżeńskie i oblubieniec nie chodził sam po narzeczoną, jeno przyprowadzono mu ją wieczorem, a nazajutrz przynoszono do niej wiano. Co więcej — gdy pierwsi stali na niższym szczeblu, od którego ludzkość swój rozwój rozpoczyna, bo nie znali stadeł małżeńskich i żyli w heteryzmie, czyli w wspólności żon, co zdaje się przebijać w tych słowach Nestora: żyli w bezwstydzie przed ojcami i synowemi. Polanie natomiast „mieli zwyczaje ojców swoich proste i skromne, wstydliwość wobec swoich synowych i sióstr i matek i ojców swoich, a synowe wobec świekrów i dziewierzów wielką miały wstydliwość.“ Pisarze arabscy, mówiąc o plemieniu słowiańskiem, najdalej na wschód wysuniętem, utrzymują, że „żony u nich nie są rozpustne, ale dziewicami będąc, gdy która pokocha młodzieńca jakiego, sama idzie do niego dla zaspokojenia swojej namiętności; dlatego też, skoro mężczyzna się ożeni i znajdzie ją w dziewiczym

[1]) Atlas archeol. do opisu Kijowa, XII., 15. 16.

[2]) Sumców: Kulturnyja pereżiwanija, patrz kułaczki.

stanie, to się odrzeka od niej, uważając ją za niewiele wartą, bo przed nim nie znalazła nikogo, któryby ją polubił [1]).

Powyższy treściwy pogląd na związki małżeńskie wśród Słowian, zajmującej nas epoki, wypowiedziany przez Rulikowskiego i Radzimińskiego, jest najzupełniej trafny i z duchem epoki zgodny. Nie wszyscy jednak właściwą miarę do związków małżeńskich tamtoczesnych przykładają, dopatrując w normalnych warunkach pierwotnej tamtoczesnej rodziny wolności obyczajów, konkubinatu, dwużeństwa, częstych rozwodów etc., a stąd wyprowadzają wnioski o sybarytyzmie i rozluźnieniu obyczajowem u niektórych plemion. Błędy te pochodzą z przykładania miary dzisiejszych pojęć religijnych i prawnych o małżeństwie do społeczeństwa, nie znającego tych pojęć wcale i nie będącego jeszcze w tej fazie ewolucyi, w którą małżeństwo weszło z przyjęciem chrześcianizmu [2]).

Pogrzeby były mięszaniną zwyczajów miejscowych ze zwyczajami, przyniesionemi z Grecyi, wraz z obrządkiem wschodnim religii, szczególnie o ile to odnosiło się do pogrzebu książąt i duchowieństwa. Charakterystyczną cechą pogrzebów owoczesnych był zwyczaj, dzisiaj już nader rzadko zachowywany, odwożenia ciała, włożonego do trumny, na saniach. Dziś zaprzęgają do sani woły, prawdopodobnie i dawniej działo się tak samo. Dodać jednak muszę, że zwyczaj ten przechował się na głębokiem Polesiu lub Polesiu kijowskiem (pow. Radomyślski), na Rusi stepowej ciało umarłego odwożą na cmentarz na wozie. Kiedy umarł Włodzimierz (1015 r.), chociaż to było 15. lipca, ciało jego „położono na sanie, przywieziono i złożono w cerkwi św. Bogarodzicy (Dziesięcinnej)" [3]). Nie było to wcale żadnym wyjątkiem, lecz zwyczajem powszechnym. Na saniach przywiózł Wszewołod zwłoki ojca swego Jarosława (w r. 1054) z Berestowa do Kijowa. Jakkolwiek działo się to w zimie (20. lutego), gdyby jednak chodziło o paradę tylko, można byłoby ciało przenieść, zważywszy, że kilkokilometrowe oddalenie na przeszkodzie nie stało [4]). Dalsze przykłady przekonują, że przewożenie umarłych na saniach było zwyczajem, stosowanym bezwzględnie na porę roku. Mnisi peczerscy umierającego Teodozego „wzięli na sanie i postawili naprze-

[1]) W. Rulikowski i Z. Radzimiński: *Kniaziowie i szlachta*. Kraków 1880, t. I. str. 56 i 57. U tegoż: Nestor, Bielowskiego str. 559, jakoteż *Izwiestija Al-Bekri i drugich awtorów o Rusi*.

[2]) Hruszewskij: *Oczerk ist. Kijew. Ziemli*, str. 405. Patrz także przypisek 3.

[3]) A. Bielowski: Mon. pol. hist. I., 676.

[4]) ibid. 710.

ciwko cerkwi" [1]): księcia Izasława (syna Jarosława) przywieźli zabitego w łodzi pod Kijów, a potem „włożywszy ciało jego na sanie, powieźli je", chociaż działo się to w początku października [2]).

Panował także zwyczaj, że ciała książąt, ludzi możnych i mnichów, w ogóle duchowieństwa wyższego zawijano w drogie materye od stóp do głowy, jak świadczą o tem w ogóle „święci" kościoła wschodniego, a w szczególności ciała ascetów (postnik), świętych i błogosławionych, spoczywające w pieczarach Ławry kijowskiej. Nestor, pisząc o śmierci w. ks. Włodzimierza, powiada: „obertiewsze w kowr" ciało jego, spuszczono na sanie [2]). Ten sam latopisiec w innem miejscu, o śmierci Jarosława, powiada głucho: „Wsiewołod spriata tieło otca" [3]) tak, że tu wyraz „spriata" równoznaczny z wyrazem „zawinął", — jakoż istotnie zawijano ciała umarłych i w takich zawinięciach doszły one do czasów naszych.

Składano je w cerkwiach lub podziemiach cerkiewnych, jeżeli to były ciała książąt lub dostojników kościelnych albo świeckich, lub też na cmentarzach, w pobliżu cerkwi, jeżeli umarli należeli do szarego tłumu. Do wiecznego spoczynku składano je do grobowców (raka, raka mramoriana), albo w trumnę (krstu mramorianu). Między jednym a drugim wyrazem trudno dziś różnicę wynaleźć i zdaje się, że i współcześni nie bardzo tę różnicę rozumieli. Kilka takich grobowców ucałało dotychczas i daremnie oczekują na badacza pośród polskich uczonych. Jednym z najbardziej charakterystycznych jest piękny grobowiec z brudnego, żyłkowatego marmuru w kościele św. Zofii, z lewej strony wielkiego ołtarza, uważany za grobowiec Jarosława, chociaż pewności nie ma żadnej a prawdopodobieństwa mało, że istotnie jest grobowcem Jarosława.

Zbadanie pozostałości archeologicznych, wykopalisk etc. dostarczy niezawodnie badaczowi życia domowego na Rusi w odległą epokę dużo bardzo materyału i rzuci światło na narody, zamieszkujące Ruś, i ich cywilizacyę większe i dokładniejsze, niż to, które ze źródeł pisanych płynie. Tylko usystemizowanie wykopalisk dać może należyte pojęcie o przemyśle w ogóle, o przemyśle domowym, a nawet handlu i stosunkach. Obecnie zgromadzenie tego materyału jest zbyt jeszcze kosztowne, a niemożność reprodukowania za pomocą rysunku czyni go prawie niedostępnym dla historyi cywilizacyi, jakoteż historyi w ogóle.

Fr. Rawita.

---

[1]) A. Bielowski: Mon. pol. hist. I., 710.
[2]) ibid. 751. [3]) ibid. 676. [4]) ibid. 710.

Z PAMIETNIKA KONFEDERATA BARSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

II.

Obozy konfederatów na Woloszczyźnie. — Sprawy wojskowe. — Spory między marszalkami. — Nowy pasza w Chocimiu. — Poselstwa do hana i do Stambulu. — Wojna wypowiedziana Rossyi przez Turcyą. — Porwanie Pulaskiego. — Potocki regimentarzem.

O sprawach i położeniu konfederatów zaraz po przejściu szefów barskich na Wołoszczyznę znajdujemy w naszym pamiętniku trochę szczegółów, uzupełniających znaną relacyę Wybickiego, nie zawsze ściśle dokładną [1]). Jak wiadomo, Wybicki krótko był śród konfederatów na Wołoszczyźnie, wysłany zaraz z missywą do biskupa Krasińskiego od szefów barskich. Nasz pamiętnikarz patrzał z bliska na rozwijające się wypadki, ztąd choć pobieżnie, ale wyraźnie charakteryzuje położenie konfederatów, przedstawia sprawy wojskowe, stanowiące przedmiot sporu między marszałkami, zakończonego porwaniem Pułaskiego, przyczem potwierdza podanie, zaregestrowane u Rulhiere'a, o współudziale sołtana tatarskiego w zamachu dokonanym przez Potockiego na marszałku związkowym. Stosunki szefów barskich z władzami tureckiemi, prowadzone natenczas układy i negocyacye, jako mało znane szerszemu kołu, bo najczęściej w tajemnicy trzymane, w ogólnikowych tylko rysach zaznacza, również nic tu nie ma o losach konfederacyi w kraju. Położenie związkowych zaraz po ustąpieniu z granic polskich w ten sposób opisuje nasz konfederat:

„Ściągnęło się wojsko wszystkie pod Rumakowce, wyprawiono do paszy chocimskiego dla pozwolenia trawy dla koni. Pasza poka-

---

[1]) *Pamiętniki Józefa Wybickiego.* (Poznań 1840).

zał w tem swoją grzeczność i wydał teskirę, to jest bilet, aby trawy niepożyteczne do koszenia wszędzie wolne były, lecz w kilka dni Turcy napadli, zabrali kilkadziesiąt koni, które wykupować drogo musiano i od tego czasu codziennie, choćby na tłokach konie paśli, po kilkadziesiąt czerwonych złotych opłacać musieli.

„Po tygodniu jednym ruszyło się wojsko pod Olszanicę i Nielipowce i obozem stanęło. Potem nastąpiła lustracya wojska przez marszałków i jp. podczaszego (Potocki). Nastąpiła przytem jakowaś uraza jp. podczaszego litewskiego do marszałka związkowego, nareszcie przyszło i do żwawszych pomiędzy nimi sprzeczek. Dopraszał się potem jp. podczaszy u marszałka generalnego o złożenie sesyi, remonstrował, że rada powinna być ustawiczna i że konsyliarzów pomnożyć trzeba dla fundamentalniejszych i stalszych czynów. Czynił przyzwoite i głębokie akomodacye marszałkowi generalnemu i wszystko, co chciał, wymógł na nim, bo ten, nie mając żadnej prywaty w czynnościach swoich, szczególnie tylko miał na pieczy dobro publiczne.

„Jp. podczaszy miał czas poznać subjekta, które będą zgadzały się z jego fantazyą, i na drugiej sesyi wprowadził tyle, ile mu potrzeba było, których do przysięgi łatwo przymuszono; podawał propozycye subtelne, zdające się pożytecznemi ojczyźnie. Wyprawiali posłów do Krymu, do hana. Do Stambułu chcieli wyprawić, ale pasza chocimski na to nie pozwolił. W tej materyi najpotrzebniejszej największa była trudność, co najwięcej martwiło marszałka konfederacyi generalnego.

„Przyszła potem wiadomość, że pasza idzie nowy do Chocimia, którego oczekiwali w wielkich nadziejach, suponując, że ten pasza idzie z nową dyspozycyą cesarską, przynoszącą pomyślność dla konfederacyi i mając nadzieję, że pasza chocimski dawniejszy przesłał ekspedycye od konfederacyi do cesarza.

„Dnia 24. augusta przyszedł nowy pasza, do którego jw. marszałkowie pojechali, wielkie prezenta podawali: oświadczył i ten wielką ludzkość, ale jej nie dotrzymał potem [1]).

„Jp. podczaszy litewski dopraszał się marszałka konfederacyi, aby wojsko ściągnąć do kupy. Marszałek związkowy przejrzał dla siebie jakowąś niepomyślność, dał był ordynans jp. Orłowskiemu.

---

[1]) Szczegóły konferencyi marszałków z Chatil-paszą we współczesnych listach Józefa Pułaskiego, przytoczonych w jego życiorysie w *Złotej księdze szlachty polskiej*, wydawanej przez Żychlińskiego. (Tom VIII., str. 266. Poznań 1886).

chorągwi ip. starosty ochockiego porucznikowi, na objęcie komendy subalterna partyi ukraińskiej i na odebranie chorągwi od ip. Orańskiego[1]), towarzysza chorągwi jw. wojewody kijowskiego, które pod komendą jego za granicę przyszły na Wołoszczyznę. Partyi zaś podolskiej był regimentarzem ip. Mrozowicki, starosta stęgwilski, która pozostała jeszcze o mil ośm od miejsca tego.

„Nastąpiła potem lustracya wojska, po której na pierwszej sesyi dopraszali się niektórzy konsyliarze i wojskowi, aby ip. podczaszego lit. regimentarzem generalnym obrano, co łatwo otrzymał, bo wszystkie wota poszły za żądaniem jego. Marszałek związkowy na to nie chciał zezwolić, ale żwawsze potem nastąpiły czynności ip. podczaszego, bo z wielką układnością częstując kilka razy wojsko, ile mógł nakłaniał ku sobie. Potem znalazł swoim chęciom powolnego, ip. Orłowskiego, subalterna-regimentarza marszałka związkowego, który w młodości swojej niewiadomym być musiał artykułów wojskowych, iż ktoby miał czynić jakowe w wojsku sekretne zmowy lub spiski, śmiercią być powinien karany. Wziął tenże kawaler nieszczęśliwy coś pieniędzy i konia szpakowatego, chodził w wojsku po komendantach, namawiał, aby odstąpili Pułaskiego, marszałka związkowego. Długo się wojsko opierało, ale prywata wszystko przemogła, bo zapomniawszy tak wielkich obowiązków w przysiędze swojej, odstąpili i ruszyli się z obozu, poszli pod Nelipowce. Zostało tylko chorągwi ośm i milicya kijowska pod moją komendą.

„Tentowano potem marszałka związkowego, aby dał ordynans ip. poczaszemu lit. na generalne regimentarstwo. Ten człowiek gorliwy za wiarę i wolność, nie przejrzał swego nieszczęścia, i żeby go nie sądzono o jaką prywatę, szkodzącą ojczyźnie, podpisał ordynans, który odebrawszy ip. podczaszy, wydał swoje ordynanse do pozostałych przy marszałku związkowym chorągwi, aby stawały w kwaterze jego głównej w Nelipowcach. My komendanci, będący przy nim, stanęliśmy na tem, że przysięga surowa nie pozwala nam od-

[1]) Stanisław Woyna Orański (na Oraniach, Łaskowie, Oratowie etc.), stolnik czernichowski, był w Barze w chwili zawiązania konfederacyi, po zdobyciu Baru przez Apraksyna z innymi przebił się do wojsk związkowych nad Dniestrem. W Barze został konsyliarzem, długi czas z szefami barskimi przebył w Turcyi. na dokumencie z 1769 r. 16. grudnia, wystawionym w Dankowcach, a stanowiącym warunki umowy z hanem krymskim o wspólną pomoc, podpis jego czytamy. Po upadku konfederacyi podpisał w 1773 r. reces i do dóbr powrócił. Często posłował na sejmy, był rotmistrzem kawaleryi narodowej; w 1778 roku dostał order św. Stanisława, był wtedy podkomorzym czernichowskim. umarł 1778 r.

stąpić osoby tej, której przysięgliśmy. Powtórzył ordynansami swojemi do jak najprędszego łączenia się z nim, ale stateczni komendanci i wojsko zezwolić na to nie chcieli.

„Nastąpiła potem karystya wielka w partyi ip. Pułaskiego, bo pieniędzy na wojsko nie stało. Partya zaś ip. podczaszego po części brała, na którą wymógł u marszałka konfederacyi własnych jego pieniędzy. Nastąpiła też po czasie i jesień zimna, gdzie było czas pod dach wojsku, w czem udali się do paszy. Dał kwaterę ip. podczaszemu w Dankowcach, wojsko zaś po wsiach szwadronami rozłożone było, musieli opłacać kwatery i stajnie, na co i wystarczyć żadną miarą niepodobna było. Część wojska zaś marszałka związkowego pod Rawińcami w polu stać musiała słoty, mizeryę, śnieg cierpiący.

„Dopiero natenczas wyprawiono do Stambułu księdza Hankiewicza [1]), proboszcza żwanieckiego, umiejącego dobrze język turecki, potajemnie, aby mógł zajechać.

„Zostawaliśmy w wielkich żądzach powrotu tegoż pomienionego Hankiewicza, a nie mogąc się doczekać, marszałek związkowy z cząstką swego wojska komputowego i konfederacyi przepławił Dniester przez bród pod Hryńczukiem i spędziwszy forwachty pułków królewskich, ulokował się w Żwańcu. Starosta zezuliniecki (Kazimierz Pułaski) poszedł aż ku Raszkowu i tam, wziąwszy pieniądze, zbierał ludzi w ciągnieniu ku Żwańcowi . . .

„Jw. podczaszy powydawał pozwy wszystkim komendantom, aby stawili się za granicą, aby się przeprawiali nazad pod komendy jego . . .“

W dalszym ciągu nasz pamiętnikarz przytacza pogłoski, jakie rozejść się musiały śród wojskowych o pomyślnym jakoby rezultacie missyi ks. Hankiewicza w Stambule. Może też dla podtrzymania ducha rozpuszczono wieści o posiłkach ze strony Porty. Opowiadano więc w szeregach, że ks. Hankiewicz osobiście sułtanowi, jadącemu do meczetu, wręczył ekspedycyę szefów barskich, że sułtan przyrzekł

[1]) Ksiądz Hankiewicz, proboszcz ze Żwańca, powiernik biskupa Krasińskiego, który go często posyłał do Stambułu w sprawach konfederacyi. Znał język turecki oraz zwyczaje i obyczaje Turków, bo w sprawach wykupu niewolników chrześciańskich często jeździł do Turcyi i miał stosunki śród paszów tureckich. Schmitt pisze, że był kanonikiem kapituły kamienieckiej, Ormianinem z rodu. Zkądinąd wiemy, że w r. 1768 proboszczem żwanieckim był ksiądz Brzeziński, zamordowany przez Turków w 1769 r. (Dr. Antoni J., *Zameczki podolsk.*, tom III., 18). Widać więc, że ks. Hankiewicz opuścił był wcześniej już probostwo żwanieckie.

im pomoc i że w drodze już były przyrzeczone posiłki. Zaszłe w Stambule wypadki sprzyjały rozszerzaniu podobnych pogłosek. Pod tę bowiem porę stronnictwo, pragnące wojny z Rossyą, wzięło górę, ulegając wpływom dyplomacyi francuskiej, i sułtan „kazał wziąć w areszt — jak się wyraża nasz konfederat — posła ruskiego, Obreskowa, i obwołać wojnę publicznie.“ Krym Girej, znany przeciwnik Rossyi, przywrócony do łaski, prowadzić miał 40.000 hordy, a syn jego, Bachty Girej, wyszedł niezwłocznie z 10.000 Tatarów i 6.000 spahów w kraj chocimski.

Przybycie sołtana, mającego wspólnie działać z konfederatami, znacznie ożywiło pokładane w Turcyi nadzieje. Niemniej przecież rozdwojenie między szefami barskimi wzrastało, paraliżując wszelką ich działalność. O waśniach tych śród starszyzny częste są wzmianki w pamiętniku; do intrygi, uknutej przez podczaszego przeciw marszałkowi związkowemu, wchodzić miał ów sołtan tatarski, Bachty Girej. Potocki bowiem — czytamy dalej — pojechał do niego „dopraszać się, aby przez list sprowadził do siebie ze Żwańca Pułaskiego, co łatwo stało się, bo Pułaski, zaufany na swoim charakterze, pojechał bezpiecznie w kilkanaście koni do sołtana. Przyjął go (sołtan) po ludzku, przyjął konia w prezencie od niego, potem dopraszał się go, aby jechał do Dankowiec, do marszałka i podczaszego, mieniąc, że i on miał posłać swoich konsyliarzów, dla ułożenia planty wyruszenia w granice polskie . . “

Z innych źródeł wiemy, że nieporozumienia zaostrzyły się z tego powodu, że Potocki chciał oczekiwać w Wołoszczyźnie na wybuch wojny turecko-rossyjskiej, Pułaski zaś chciał niezwłocznie wrócić w granice polskie dla podtrzymywania zawiązujących się w kraju konfederacyi i wbrew zdaniu Potockiego, wyprawił był swe oddziały na polską stronę, gdzie już utrzymały się pod komendą jego synów. Wezwany przez sołtana, upewniony przezeń, że w Dankowcach będą narady w kwestyi „wyruszenia w granice polskie“, stary Pułaski pospieszył tamże, lecz zaledwie przybył, został porwany i uwięziony w obozie Potockiego, gdzie też umarł niedługo później.

Tatarzy Bachty Gireja cofnęli się od granic, spustoszywszy całą „raję chocimską“. Pamiętnikarz nasz upatruje w usunięciu się ich intrygę Potockiego, który bogatymi darami skłonić miał sołtana, aby wrócił do ojca. Była to znów pogłoska, powtarzana przez niechętnych Potockiemu, którego samowola i pycha odstręczały wielu, a autor dyaryusza zawsze z niechęcią o nim wspomina, przedstawiając ówczesne stosunki śród konfederatów.

Położenie oddziałów, rozlokowanych na Wołoszczyźnie, było pożałowania godnem, tem bardziej, że pasza chocimski, „posmarowane mając ręce“ — jak się dobitnie wyraża pamiętnikarz — niechętny był konfederatom, bo nawet podbudzał jakoby Lipków, aby ich wycięli. Choć nie przyszło do tego, to jednak czytamy w pamiętniku, że „przejeżdżając od kwater do kwater, z wojska naszego zabijano po drogach, w żadnej zaś rekwizycyi nie nastąpiła satysfakcya od paszy.“

Potocki tymczasem starał się ściągnąć „z granic polskich“ oddziały Pułaskiego i w tym duchu liczne wydał ordynanse, które jednak bez skutku zostały, i daremnie „kłócił się z tem wojskiem jp. podczaszy aż do Bożego Narodzenia.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kazimierz Pułaski.

GALICIANA.

(1778—1812).

Część trzecia.

I.

(Ciąg dalszy).

Trzy następne listy. (8—10), poświęcił Traunpaur „światowym anegdotom“, które opowiada z werwą nałogowego facecyonisty a z koszarową iście rubasznością. Powtarza więc znaną opowieść o żydku. który zmuszony do udawania kukułki. zastrzelony został na drzewie przez pijanego szlachcica — tradycya czyn ten nieludzki przypisuje głośnemu staroście Kaniowskiemu — tudzież o podobnem barbarzyństwie, dokonanem przez innego ziemianina na osobie nieznanego przechodnia. Bardziej senzacyjną jest opowieść o pewnym szlachcicu, utrzymującym kazirodczy stosunek z własną córką. której męża z jej pomocą zadławił następnie w stajni. Morderca został w roku 1774. we Lwowie. żywcem w koło wpleciony. zaś jego wspólniczkę stracono mieczem. Wiele zbrodni — zdaniem autora — uchodzi w Polsce bezkarnie, dzięki samowoli, przekupstwu oraz innym względom. Natomiast ramię sprawiedliwości ścigało z nieubłaganą surowością obcych złoczyńców. Wieszano ich bez pardonu po krótkiem śledztwie. Wymiar karzącej sprawiedliwości w Polsce jest dziś jeszcze najbardziej bezwzględny obok francuzkiego. Najprzebieglejsi złoczyńcy wyznawali przed egzekucyą. iż udawało im się ujść cało z rozmaitych krajów, lecz dopiero w Polsce przyszło im odpokutować za popełnione zbrodnie.

W dalszym ciągu anegdot czytamy o konfederatach. których przyjacielem nie był nasz autor, tudzież o przygodach słynnego księcia „Panie Kochanku“ podczas jego peregrynacyi po obcych krajach. Zasługuje z tych opowieści. znanych zresztą oddawna, na za-

notowanie anegdota o sławnym uczonym, Albrechcie Hallerze, zamieszkałym w Bernie szwajcarskiem, któremu książę Karol zaofiarował stopień jeneralski w swem wojsku. Stojący nad grobem starzec, kazał księciu podziękować za ten zaszczyt, zapytując równocześnie jego wysłannika, czy armia Radziwiłłowska popisywała się już wobec króla polskiego?... Niemniej interesującym jest epizod z życia księcia wojewody wileńskiego, który już po powrocie do kraju chciał ukarać ścięciem własną małżonkę na podstawie zeznań, złożonych prez fałszywych świadków. Księżna Rozalia, z domu Rzewuska, zdołała ujść z pomocą audytora pułku Tilliers do Lwowa, a następnie do Wiednia, gdzie schroniła się pod opiekę cesarza Józefa II. Wprawdzie rozgniewany małżonek nie chciał jej zrazu dać ani grosza, lecz później rozmyślił się inaczej wobec sekwestru, nałożonego na jego dobra galicyjskie. Z kolei opowiada Traunpaur o wstrętnym handlu na żonę, jakiego dopuścił się szambelan Kuczkowski, odstępując własną połowicę księciu Andrzejowi Sanguszce w zamian za wieś i cztery piękne konie. Miało się to stać przed pięciu laty.

Następnie wymienia autor najgłośniejszych awanturników, jacy krócej lub dłużej bawili w Polsce. Byli między nimi i sławny Cagliostro i pyszałkowaty hr. Boisson de Ruenzy, rycerz łatwego przemysłu, kawaler orderów i członek wielu towarzystw uczonych, uczony Wenecyanin, Casanova di San Callo, głośny z pojedynku, odbytego z Branickim, baron Pöllnitz, chwalący te jedynie dwory, które go darzyły upominkami, baron Moltke, piastujący przez lat 25 szarżę majora w armii cesarskiej, wreszcie hr. Thomatis, umiejący przedziwnie pomagać szczęściu w grze. O Moltkem, który z powodu lekkomyślnego trybu życia przez całe ćwierć wieku, nie został posunięty na wyższy stopień, opowiada Traunpaur następujące zdarzenie z czasów wojny siedmioletniej: Do Moltkego, który zasiadł w kantynie do gry w karty, przemówił kilkakrotnie jego partner, stary chorąży: Panie kolego! Tego było za wiele baronowi, który porwawszy się z miejsca, zawołał: Czy nie widzisz galonów na mej kamizelce, oznaczających rangę sztabowego oficera? — Widzę je całkiem dokładnie — odparł dowcipny wiarus. — Ponieważ jednak pan tyle lat jesteś majorem, ile ja noszę chorągiew, przeto nazwałem ciebie kolegą... Szereg „świeckich anegdotek“ zamyka wzmianka o pewnym aptekarzu w Preszowie, który uciułał sobie mająteczek z sprzedawanej konfederatom suszonej ryby „Stanca marina“, tudzież o hucznych ucztach, wyprawianych przez marszałków konfederackich. Podczas owych bankietów zdarzało się nierzadko, iż rozochoceni goście wyrzucali za okno srebrne półmiski i talerze. Był to zwyczaj,

przejęty od patrycyuszów weneckich, którzy podczas uczt wyprawianych na cześć dostojnych gości, ciskali w morze kosztowną zastawę, z tą jedynie różnicą, iż dowcipni Włosi zapuszczali poprzednio pod oknami sali biesiadnej gęste siecie, z których następnego dnia wyławiali bez żadnej szkody wyrzucone przedmioty. *Est modus in rebus* — opowiada nasz autor — co świadczy o istnieniu sztuki imponowania ludziom tanim kosztem. Niektórzy Polacy znają wybornie ten sekret.

List jedenasty, poświęcony „anekdotom duchownym", nie nadaje się z rozmaitych względów do powtórzenia. Traunpaur, tyle wyrozumiały w swych sądach dla wszystkich zboczeń i wybryków, daje się w tym ustępie unieść fanatyczną, rzec można, nienawiścią przeciw duchowieństwu, twierdząc, że takowe pobłaża wszelakim wybrykom i zbrodniom, pod warunkiem obserwowania praktyk religijnych i zachowywania postów. Obrusza go zwyczaj nasz staropolski utrzymywania stałych kapelanów po dworach, gorszy się ich rubasznymi konceptami, kazaniami, tudzież opilstwem, jakiemu część duchowieństwa wiejskiego podlegała.

Z większym spokojem rozprawia nasz autor o wolnych mularzach, wśród których, obok rzeczywistych przyjaciół ludzkości, istnieli także pospolici szalbierze. Jedni i drudzy — czytamy w liście dwunastym — mają swą siedzibę we Lwowie, gdzie obok niemieckiej założono lożę francuzką. Żyją one z sobą w takiej zgodzie, jak ogień z wodą. Która jest prawdziwą, tego rozstrzygać nie chcę, gdyż nie mam zaszczytu należenia do tego grona. Tyle tylko wiem, że z funduszów niemieckiej loży hrabia G.... we Lwowie dwukrotnie już spłacał samowolnie swe znaczne długi. Inne miasta cyrkularne, jak n. p.: R(zeszów?), D(ukla?) i T(arnów?) mają swe osobne loże, gdzie przyjmują każdego, kto posiada dobrze wypełnioną sakiewkę. Kawalerowie, oficerowie werbunkowi, urzędnicy cyrkularni, felczerzy, aptekarczyki, fryzyerzy, wszyscy bywali przyjmowani z otwartemi rękoma i stosownie do złożonej opłaty otrzymywali stopnie towarzyszów, mistrzów szkockich i mowców. We Lwowie opłata ta obniżyła się już do kwoty trzech rubli. Nagle pojawiła się piorunująca bulla cesarska, o wiele skuteczniejsza od niejednej papiezkiej. Od razu położyła ona kres szalbierstwom i podziałała tak potężnie, iż pewny komendant werbunkowego okręgu z T. podążył pocztą do R., by wykreślić się z grona członków tamtejszej loży.

Niejaki pan v. P...., przebiegły Włoch i sekretarz hrabiego B. we Lwowie, zajmował się oświecaniem tak zwanych ciemnych i podburzaniem jednych przeciwko drugim. W tym celu używał on,

jako pomocnika, doktora W...., łatwowiernego Tyrolczyka z Roveredo, który gadał gdyby opętaniec wszystkimi językami i żadnego z nich dokładnie nie rozumiał. Innym znów wybitniejszym wolnym mularzem we Lwowie był bawiący obecnie w Tryeście, radca gubernialny, baron v. G...., który nie znał nawet języka niemieckiego. Jego referaty musiał odrabiać sekretarz gubernialny, v. Schnelc, ale pensyę swą w sumie 2.000 złr. pobierał pan baron bardzo regularnie, nie potrzebując pod tym względem żadnego wyręczyciela. Przed publikacyą cesarskiego dekretu nie można się było opędzić werbownikom wolnomularskim w lwowskich kawiarniach i restauracyach. Snuli się jak cienie za upatrzoną ofiarą, zachwalając jej swą loże i ofiarując przyjęcie do gabinetu Salomona za marną opłatą kilku złotych. Z drugiej znów strony naczelnicy pewnych cyrkułów, oglądający się na zasiłki z kasy lożowej, starali się wszelkimi sposobami wpływać na podwładnych urzędników, by zapisywali się do grona czcigodnych braci... Teraz dopiero oszukanym otwarły się oczy. Zmądrzeli oni i nie będą na przyszłość napychać swemi pieniądzmi sakiewki fałszywych, wolnych mularzy oraz płacić długów, przez kogo innego zaciągniętych. Oby za tym przykładem poszli wszyscy i oby wszystkie pokątne loże znikły z powierzchni ziemi. Jest to życzeniem każdego patryoty oraz każdego, uczciwego wolnego mularza.

Wspomniane przez Traunpaura rozporządzenie monarsze, dotyczące lóż wolnomularskich, ogłoszone zostało w dniu 29. grudnia 1785 r. i zawierało następujące, wielce charakterystyczne ustępy: „Tak zwane towarzystwa wolnych mularzy“ — słowa cyrkularza — „których tajemnice równie mi tak niewiadome są, im mniej ich kuglarstwa dochodzić kiedy ciekawy byłem, pomnażają się i rozszerzają teraz już nawet po wszystkich, najmniejszych miasteczkach... Przedtem i w innych krajach zakazywano i karano wolnych mularzy i w ich ložach trzymane zgromadzenia niszczono dlatego jedynie, że o ich tajemnicach żadnej wiadomości nie miano. Mnie one, chociaż mi również niewiadome są, dosyć mi na tem wiedzieć, że z tych towarzystw wolnych mularzów przecież niejako dobro dla bliźniego, dla ubóstwa i wychowania młodzi już uczynione było, żebym dla nich więcej, niż w jakim kiedy kraju działo się, niniejszem rozkazał, to jest: Iż one, choć też o ich prawach i czynnościach nie wiedząc, jednakże dopóki one dobre uczynki czynią, w obronę i zasłonę państwa całego być wzięte a tak ich zgromadzenia formalnie pozwolone być mają“...

Uznanie to wszakże nie było bezwarunkowe. Monarcha przepisywał, aby w siedzibach rządu krajowego istniały jedna a co najwyżej trzy loże, (te ostatnie jako filie pierwszej), których naczelnicy obowiązani byli do przedkładania gubernatorowi spisu imiennego członków loży, bez wymienienia stopni i godności, piastowanych wśród braci. Natomiast istnienie i zakładanie lóż na prowincyi i we wsiach było surowo zabronione pod zagrożeniem grzywny w kwocie trzystu czerwonych złotych. Donosicielom warowano bezkarność, zachowanie nazwiska w tajemnicy i sto czerwonych złotych nagrody. Rozporządzenie to weszło w życie z dniem pierwszym stycznia 1786 roku.

Treścią trzynastego listu są „Miscelanea“, których szereg rozpoczyna wzmianka o Liesganiggu [1]). Niejaki Abbe Liesganigg — pisze nasz autor — rodem z Kramy, były jezuita, kreatura dawniejszego gubernatora, hr. Auersperga, szczyci się tytułem naczelnika żeglugi. Mimo najlepszych chęci nie mogłem wszakże dociec, na czem właściwie owa żegluga polega. Jest to zresztą człowiek bardzo użyteczny i uczony, ale nie biegły w hydraulice. Wiem na pewne, iż inżynierowi, wydelegowanemu przez skarb w sprawie kolonizacyjnej, zwykł był stale odpowiadać: Rób pan, jak uznasz za stosowne...

Pan von Breuning — czytamy w dalszym ciągu tego listu — urodzony z niemieckich rodziców w Portugalii, jest starszym inżynierem przy administracyi dóbr kameralnych i stoi na czele brygady inżynierskiej, złożonej z dwudziestu pracowników. Jest on niestrudzonym filantropem i otrzymał publiczne uznanie ze strony monarchy, który go za wzór innym urzędnikom przedstawił. Jego to pilności oraz wiedzy zawdzięczać należy osuszenie wielkich i szkodliwych bagien w Sandomierskiej ekonomii. Użyźnienie takowych, zaludnienie niemieckiemi kołoniami oraz odprowadzenie wody sztucznym kanałem do Sanu i do Wisły — jego jest dziełem. Człowiek ten zawdzięcza swe wykształcenie staraniom ulubionego i rozumnego księcia Bragancy, któremu towarzyszył podczas wojny siedmioletniej i następnie jego kosztem umieszczony został w akademii inżynierskiej we Wiedniu.

---

[1]) Józef Liesganig, znany astronom, urodził się w dniu 13. lutego 1719 roku w Gracu i wstąpiwszy w młodym wieku do zakonu Jezuitów, był kolejno profesorem retoryki i matematyki w rozmaitych kolegiach, a następnie naczelnikiem astronomicznej stacyi w Wiedniu. Po kasacie zakonu wstąpił do służby rządowej i jako radca gubernialny został zamianowany szefem budowy dróg i mostów w Galicyi. Zmarł we Lwowie dnia 4. marca 1799 r.

Niemiecka *Lemberger Zeitung* stoi niżej poziomu miernoty. Zawiera jedynie spóżnione fragmenty z obcych pism, a jakkolwiek bardzo tania, jest jeszcze za droga w stosunku do swej treści [1]). Wychodzi też w Polsce tygodnik, p. t. *Pamiętnik*, wywołujący wielkie wrażenie. W rzeczywistości jednak jest to tylko dosłowny przekład „Hamburgskiego Politycznego Dziennika". Każdy sobie radzi, jak może. Literaccy korsarze istnieją na całym świecie, nawet tam, gdzie ich się najmniej spodziewać można [2]).

Od *Pamiętnika* przeskakuje autor „Miscelaneów" do ruin pałacu drewnianego w Kolbuszowej, których widok wywołać musi ciężkie westchnienie z piersi znawców. Budowa tego gmachu — jak twierdzi Traunpaur — kosztowała Lubomirskich do 70.000 dukatów. Był to budynek dwupiątrowy, zaopatrzony we wszelkie możliwe wygody i spojony w ten sposób olbrzymiemi żelaznemi śrubami, że z łatwością można go było rozebrać i przenieść na inne miejsce. Owe dziwo nowoczesnej architektury dostało się w ręce młodego marnotrawcy, znanego z szaleństw wszelakiego rodzaju, księcia Marcina Lubomirskiego, małżonka zacnej Anny hrabianki Hadik. W ciągu pięciu lat przetracił on nietylko klucz Kolbuszowski, złożony z piętnastu wsi, wraz z pałacem, lecz nadto trzy miliony złotych reńskich w gotowiźnie. Feldmarszałek Hadik, opuszczając Galicyę, bawił przez kilka dni w tym pałacu i oświadczył zięciowi, że w ciągu wielokrotnych podróży zagranicą nie zdarzyło mu się widzieć podobnego arcydzieła sztuki budowniczej. Wkrótce potem książę Marcin rozwiódł się z swą małżonką, by poślubić tancerkę, która go również niebawem porzuciła. Obecnie żyje on w Warszawie, zawdzięczając swe utrzymanie po części wspaniałomyślności swej pierwszej żony, po części zaś przedsiębiorstwu redutowemu, które objął na własny rachunek. Tego rodzaju wybryki i odmiany losu nie są nadzwyczajnością w Polsce, tworząc część istotną sławionej wolności, panującej w tem państwie.

---

[1]) Niemiecka „Lemberger Zeitung" zaczęła wychodzić we Lwowie w roku 1787.

[2]) „Pamiętnik polityczny i historyczny" wychodził w Warszawie, począwszy od roku 1782 nakładem i pod redakcyą księdza Piotra Świtkowskiego. Była to publikacya w guście zagranicznych „Przeglądów", podająca obok wiadomości z bieżącej polityki zagranicznej także rozumowane artykuły w sprawach krajowych, ekonomicznych i administracyjnych. Na końcu każdego zeszytu miesięcznego mieścił się rodzaj gazetki. „Pamiętnik" wychodził do roku 1793 i oddał niemałe usługi sprawie publicznej.

Co do księcia Marcina nie przesadzał bynajmniej nasz autor. Sławny ów hulaka, który rezydując w Warszawie, utrzymywał batalion nadwornej piechoty, zaciągającej co południa wartę przed jego pałacem, zamianowany został w dniu 1. maja 1783 roku przedsiębiorcą tamtejszych widowisk teatralnych oraz redut. Nie długo wszakże trwała teatralna pasya księcia-pana, który już po kilku miesiącach zrzekł się intratnej antrepryzy i opuścił Warszawę. Straciwszy w latach następnych resztki olbrzymiej fortuny, oparł się Lubomirski pod koniec życia aż w Aschafenburgu, gdzie u sekciarza, Franka, gościnne znalazł przyjęcie.

Mniej natomiast autentyczną jest opowieść Traunpaura o powstaniu kościoła jezuickiego we Lwowie. Świątynia ta miała być pierwotnie drewnianą i murowany przybytek zawdzięczała, zdaniem autora, jednemu z Potockich, który w ten sposób uzyskać chciał rozgrzeszenie za zabójstwo kapłana, popełnione u stóp ołtarza. Opowiadanie owe jest błędne, podobnie jak twierdzenie Traunpaura, jakoby kościół ten był zbudowany z czarnego marmuru. Nie Potoccy zresztą, lecz Jabłonowscy i Dzieduszyccy byli szczególniejszymi dobrodziejami Jezuitów lwowskich.

Żyją jeszcze we Lwowie — słowa listu — siostry nieszczęśliwej Potockiej, córki senatora-kasztelana, która nie zdała się dość dobrze urodzoną swemu teściowi, wojewodzie, i z jego rozkazu została utopioną. Obie są równie piękne, jak ich zmarła siostra. Czyn ten okrutny nastąpił na czas krótki przed rewindykacyą Galicyi i cesarzowa Marya Teresa była zdecydowana kazać wydobyć z grobu zwłoki, zmarłego tymczasem zbrodniarza i spalić je pod szubienicą. Jedynie prośby wielu godnych członków tej rodziny i znaczna ofiara pieniężna, złożona na rzecz ubogich, zdołały zażegnać ten surowy, lecz sprawiedliwy wyrok . . .

I ta opowiastka nie jest niczem innem, jak fantastyczną bajeczką, gdyż proces między Potockimi a Komorowskimi zakończył się — jak wiadomo — polubowną ugodą.

Młody Potocki — prawi dalej nasz autor — który pojął pierwszą małżonkę z szczerej miłości, zaślubił następnie jedynaczkę, córkę Mniszka, i przebywa obecnie w dobrach swych ukraińskich, w Tulczynie. Przewódcą morderców był pewien szlachcic, przebywający zdrowo i bezkarnie w Galicyi, w okolicy nadwiślańskiej. Potocki sprzedał niedawno dobra swe galicyjskie wraz z wspaniałym pałacem w Krystynopolu za pół miliona złotych reńskich księciu Ponińskiemu, utrzymującemu się z podobnych afer. Same tylko urządzenie pałacowe kosztowało trzy miliony złotych. Utrzymywano, że pod

względem kosztowności i gustu nie miało ono równego sobie w całej Europie. Przyczyną tego niezwykłego postanowienia były nieprzyjemności, na jakie naraził się Potocki ze strony dworu wiedeńskiego, namawiając roślejszych szeregowców stacyonowanego w Krystynopolu pułku huzarów do zbiegostwa i przeniesienia się do jego dóbr na Ukrainę. Następstwa tego kroku mogły być dla Potockiego fatalne, a tylko protekcyi swego szwagra, starosty warszawskiego, Bryla, zawdzięczał on pobłażanie, jakiego doznał ze strony władzy.

Ciekawszym, mimo swej krótkości, jest list czternasty, traktujący o „lekarzach, chirurgach, aptekarzach, akuszerkach i szarlatanach." Na podobieństwo nagłej ulewy, nawiedzającej powodzią pewną okolicę, spadła na Galicyę zaraz w pierwszych latach po rewindykacyi istna armia szarlatanów, z wszystkich kątków cesarskich prowincyi wylęgła. Znany u Polaków pociąg do zbytku i połączona z nim nadmierna gościnność wywołały u mnóstwa awanturników to najświętsze przekonanie, że otwarło się dla nich nowe Peru, w którem rychło zgromadzą skarby. Jakoż z początku płacono za jedną wizytę lekarską po dwadzieścia, za puszczenie krwi dziesięć, za asystencyę przy połogu sto dukatów. W miarę jednak, jak regulowano podatki rządowe, zmniejszała się w kraju chętka do zbytku, ustawała hojność i wielu szarlatanów zawiodło się fatalnie w swych rachubach. Nie brakło i takich, którzy, narobiwszy sporo długów, w nadziei spodziewanych zysków, ulotnili się następnie bez śladu. Magnaci wygodniejsi utrzymują sobie własnych lekarzy nadwornych i chirurgów, inni zaś muszą posługiwać się lekarzami cyrkularnymi oraz felczerami. Między lekarzami nie brak też ludzi zasłużonych, jak Knobloch, medyk nadworny Lubomirskich, Kittel u Sanguszków, krakowianin Haller, pełniący obowiązki fizyka w Rzeszowie, Cattarini i Oerther, chirurdzy okręgowi w Tarnowie i w Dukli. Galicyanin Cynarski, aptekarz w Rzeszowie, jest jednym z najbieglejszych i najrzetelniejszych ludzi w swoim zawodzie. Obecnie i we Lwowie lekarz, przysłany z Wiednia, poucza akuszerki w ich sztuce. Dawniej brak był dotkliwy wykształconych w tym fachu kobiet.

W liście piętnastym powraca nasz autor do przerwanych poprzednio „Miscelaneów". Słyszymy więc dość bałamutne wersye o zwyczaju golenia głów u dawnych Polaków i o świętopietrzu, o perukarzach, którzy na prowincyi żadnego nie mają zajęcia, wreszcie o szalbierzach rozmaitego stanu i zawodu. — We Lwowie — pisze Traunpaur — spotyka się najprzeróżniejszych szarlatanów, nawet literackich, nie wyjmując i tego gazeciarza, który puścił w świat bezczelny wymysł, jakoby za krakowską bramą można było oglądać

kobietę, siedzącą na kupie kamieni i okrytą wśród zimna tylko słomą.. Od „Gazety Erlangeńskiej“ otrzymał on należytą odprawę. W ogóle *Lemberger Zeitung* jest prawdziwą makulaturą, ale młoda pani Pillerowa znajduje mimo to zawsze przyjaciół i protekcyę. Pewien szlachcic, exjezuita. Rowaliński — prawi dalej autor — zdołał rozkochać przed kilku laty starszą już wdowę, bogatą księżnę Sanguszkową, iż naprzód go sowicie obdarzyła, a następnie zaofiarowała mu swą rękę. W podzięce za to młody małżonek począł ją lekceważyć, utrzymywać sobie kochanki i maltretować swą połowicę do tego stopnia, iż oszukana ofiara sama zażądała rozwodu. Uzyskała takowy, odstąpiwszy oszustowi znaczną część swego mienia. Tego rodzaju wypadki nie są rzadkością w Galicyi. Nikt na świecie nie przesyci się tak rychło żoną, jak Polak. Dewizą jego jest zdanie: Żona moja jest młoda, piękna, rozumna, dobrze wychowana. Mógłbym się w niej na śmierć zakochać, gdyby nie była moją żoną... Przed trzema laty gościłem u pewnego szlachcica, który mię przedstawił trzem swoim, byłym małżonkom. Na zakończenie „Miscelaneów“ daje znów nasz autor folgę swym antiklerykalnym poglądom, przytaczając anegdotki o proboszczu, który bezlitośnie skatować kazał złodzieja, schwytanego w swym sadzie, tudzież o mnichu franciszkańskiego konwentu, znieważającym ohydnemi słowy wizytującego w roku 1785 klasztor tarnowski, księdza Franciszka Hoffmana.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stanisław Schnür-Pepłowski.

ORGANIZACYA ZAWODOWA
w przemyśle.[1]

Organizacya zawodowa pracujących w jednej gałęzi w produkcyi przemysłowej nie jest niczem nowem.

Już Rzym starożytny, o ile zna wolną pracę — gdyż gospodaruje, jak wszystkie społeczeństwa starożytne, przeważnie przy pomocy pracy niewolników — ma swoje *collegia* i *sodalicia opificium*, które z upadkiem państwa rzymskiego znikają[2]. Na nowo a potężnie rozwija się organizacya zawodowa przemysłu w cechach średniowiecznych[3]) i w tej formie przechowuje się w całej Europie aż do połowy, mniej więcej, naszego stulecia. Dopiero doktryny liberalne, głoszone od końca XVIII. stulecia najpierw przez pisarzy przedrewolucyjnych we Francyi, później przez t. zw. ekonomię klasyczną i jej epigonów, powodują nowy zwrot rzeczy. Pod ich wpływem zaprowadzają państwa europejskie, jedne prędzej, drugie później, wolność pracy przemysłowej i znoszą urządzenie cechowe a tem samem organizacyę zawodową pracy.

Następstwa tego kroku — jak i wielu innych przez owe teorye inspirowanych reform gospodarczych — nie dają na siebie długo czekać. Zanika dawne poczucie jedności i braterstwa między oddanymi jednemu zawodowi, zrywają się węzły etyczne, które łączyły pracodawców z robotnikami, nastaje tylko rozpasana walka konku-

---

[1]) Szkic niniejszy jest obszerniejszem opracowaniem referatu mojego na tegorocznym II. Wiecu katolickim we Lwowie.

[2]) Merkel artykuł: „Collegia" w Handwörterbuch der Staatswissenschaften Conrada i Lexisa, tom II. Lotar Bücher: Die Entstehung der Volkswirtschaft. Tübingen 1893.

[3]) Stieda artykuł: „Zunftwesen" w Handwörterbuch der Staatswissenschaften Conrada i Lexisa, tom VI.

rencyjna, w której upadają słabsi, wyrabia się proletaryat roboczy i rzemieślniczy i wytwarzają się różne „kwestye“ społeczne, jak: kwestya robocza, kwestya drobnego przemysłu i t. d.

Dzisiaj dopiero, po dziesiątkach lat, po smutnych doświadczeniach i klęskach ekonomicznych, jakie ten stan rzeczy spowodował, pod grozą widma socyalizmu zaczynają społeczeństwa odczuwać na nowo potrzebę organizacyi zawodowej, zaczynają zwracać się ku niej . . . I słusznie.

„Lepiej dwiema być społem — powiada Pismo św. — niż jednemu, albowiem mają pożytek z swego towarzystwa: jeżeli jeden upadnie, drugi go podeprze. Biada samemu, bo jeśli upadnie, nie ma, ktoby go podniósł“ [1], a na innem miejscu: „brat, który bywa wspomagan od brata, jako miasto mocne“ [2].

Słowa te Pisma świętego, które tak krótko a wymownie przedstawiają korzyści i potrzebę łączenia się, zespalania ludzi, stosują się i do pracy gospodarczej ludzkiej, zwłaszcza do pracy w jednym zawodzie . . .

Asocyacya zawodowa każda a więc i asocyacya w przemyśle ma przedewszystkiem znaczenie ekonomiczne. Umożliwia ona rozproszonym i słabym ekonomicznie drobnym przemysłowcom produkcyę, dostarczając im w drodze kredytu potrzebnego kapitału, ułatwiając zbyt produktów i dozwala im w ten sposób ostać się wobec wielkich przedsiębiorstw fabrycznych.

Lecz asocyacya zawodowa każda a więc i w przemyśle ma także drugie, może ważniejsze, znaczenie etyczno-społeczne. Robotników pracujących zawiśle jednoczy i skupia, krzepi na duchu i daje im możność bronienia w drodze legalnej swych praw, wreszcie, co najważniejsze, zbliża ich do pracodawców. A przy wzajemnem zbliżeniu nikną wiadomo, z jednej i drugiej strony uprzedzenia i zastarzałe niechęci, we wszystkich oddanych jednemu zawodowi wyrabia się poczucie braterstwa pracy, wspólności interesów. Warstwy społeczne, duchowo wyżej stojące, jak pracodawcy i ich rodziny — także i duchowieństwo — mają sposobność w kasach dla chorych, gospodach czeladnych i tym podobnych instytucyach, zakładanych przy stowarzyszeniach przemysłowych, wpływać w duchu religijnym i moralnym na klasę roboczą, szerzyć wśród niej oświatę, wyrabiać poczucie obowiązków zawodowych . . .

---

[1] Ekl. 4, 9, 10.
[2] Przyp. 18, 19.

I tu przechodzę do jeszcze jednego znaczenia, jakiego dziś specyalnie nabiera asocyacya zawodowa w przemyśle — znaczenia społeczno-politycznego. W walce przeciw szerzącym się skrajnym i niezdrowym prądom społecznym, którą to walkę podjąć jest dziś obowiązkiem każdego społeczeństwa, mogą dopieroco omówione wpływy warstw społecznych na klasę roboczą i zbliżenie się ich wzajemne stanowić broń najlepszą, najlepszą zaporę...

Wobec budzenia się dzisiejszego warstw niższych do życia politycznego, wobec rozszerzania na nie prawa wyborczego, staje się niezbędnem: wpojenie w klasę roboczą zdrowych zasad społecznych, pouczenie jej o obowiązkach i prawach obywateli, jednem słowem, wykształcenie jej obywatelskie... Najlepszą sposobność do tego daje zaś właśnie asocyacya zawodowa i instytucye przy niej tworzone...

Takie jest znaczenie asocyacyi w przemyśle, zwłaszcza w czasach dzisiejszych.

Formą jej dzisiejszą nie są już cechy, lecz stowarzyszenia. Urządzenia cechowe przeżyły się, bo cały ich początek i ustrój stały w związku z średniowieczną organizacyą stanową i właściwym tejże egoizmem klasowym. Przeżyły się i wrócić nie mogą; w miejsce ich wstępują stowarzyszenia zawodowe, t. j. związki pracujących w jednej gałęzi przemysłu, związki przedewszystkiem dobrowolne, niekiedy przymusowo przez władzę zainicyowane.

Dobrowolne stowarzyszenia zawodowe w przemyśle a mianowicie związki robotników pojawiają się w naszem stuleciu dosyć wcześnie. Przoduje w tym względzie Anglia, gdzie wobec potężnego rozwinięcia się wielkiej produkcyi fabrycznej i wobec bewzględnego egoizmu, z jakim wyzyskiwała ona robotników, stan roboczy, poparty przez wyższe klasy społeczne, już wcześnie skupił się dla obrony przeciw kapitałowi. Historya angielskich stowarzyszeń robotniczych Trade-Unions, to jedna z kart dziejów Anglii, jej przeobrażeń społecznych i politycznych... Nie myślę jej tu bliżej przedstawiać, bo przeszłoby to granice mego referatu, zaznaczę tylko, że jakkolwiek pierwsze związki robotników w Anglii tworzą się już z końcem zeszłego i początkiem bieżącego stulecia, to rozwój ich na większą skalę rozpoczyna się dopiero z poparciem ich przez stronnictwo chrześciańsko-socyalne (od r. 1849 mniej więcej). Stronnictwu temu zwłaszcza zawdzięczają w znacznej części stowarzyszenia robotnicze angielskie: przechylenie ogółu społeczeństwa na swą

stronę a następnie ustawowe uznanie. (Aktem z r. 1871 i nowelą doń z r. 1876) [1]).

W ostatnim czasie — na kongresie stowarzyszeń robotniczych angielskich w Norwich w roku 1894 [2]) — zamanifestowały się wprawdzie i wśród nich tendencye socyalno-demokratyczne, lecz pomijając, że w kongresie tym wzięła udział bardzo mała ilość stowarzyszeń (179), manifestacye te są objawem przemijającym i nie ulega wątpliwości, jak twierdzą znawcy stosunków angielskich, że żywioły umiarkowane wezmą wnet znowu górę [3]). Raz bowiem trzeźwy rozsądek i zmysł praktyczny robotnika angielskiego nie pozwalają mu zapalać się do utopii, lecz każą raczej w drodze legalnej starać się o polepszenie bytu; powtóre właśnie trwająca już czas dłuższy w Anglii organizacya zawodowa dała klasie roboczej poznać swe korzyści: poprawiła jej byt materyalny, podniosła ją duchowo, przejęła świadomością swych obowiązków a zaufaniem do społeczeństwa.

To też socyalna demokracya ma w Anglii nielicznych ledwo zwolenników w klasie roboczej [4]), gdy tymczasem organizacya stowarzyszeń robotniczych rozwinęła się tam potężnie, a dzięki staraniom zasłużonej *Labour Association* [5]) przystępowanie do

---

[1]) Bliższe szczegóły por. Webb: The History of Trade Unionism, London 1894; Brentano: Entwickelung u. Geist des englischen Arbeiterorganisationen. Archiv für sociale Gesetzgebung 1895; Brentano artykuł: Gewerkvereine in England w Handwörterbuch der Staatswissenschaften Conrada i Lexisa II.; Biermer artykuł: Gewerkvereine in England w Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Suppl. B. I.; John: Zur englisch-schottischen Genossenschaftsbewegung. Zeitschrift für Volkswirtschaft, Socialpolitik und Verwaltung. Tom III. z r. 1894.

[2]) John. Der Collectivismus in den englischen Gewerkvereinen Zeitschrift für Volkswirtschaft, Socialpolitik u. Verwaltung. Tom IV. z r. 1895.

[3]) John: Gewerkverein und Productivgenossenschaft in England. Zeitschrift für Volkswirtschaft, Socialpolitik u. Verwaltung. Tom IV. z r. 1895; Biermer j. w. str. 411.

[4]) Adler artykuł: Socialdemokratie w Handwörterbuch der Staatswissenschaften Conrada. Tom V. str. 737.

[5]) Jest to stowarzyszenie, założone w r. 1884 na kongresie spółek produkcyjnych i konsumcyjnych angielskich w Derby, którego celem jest: oprzeć produkcyę kooperatywną spółek tych nie na zasadzie zniżania, o ile można, płacy robotników, a tem samem zbierania większego zysku, lecz na zasadzie dopuszczania robotników do udziału w zysku. Na tej drodze chcą w Anglii usunąć antagonizm między związkami robotniczymi a spółkami produkcyjnemi, zakładanemi przez ludzi

istniejących spółek produkcyjnych lub zakładanie samoistne nowych wśród stowarzyszeń tych coraz się przyjmuje.

W roku 1892 — są to ostatnie urzędowe daty — było stowarzyszeń robotniczych w Anglii: 594, liczba członków ich dochodziła półtora miliona (t. z. 13—15% całej ludności, oddanej przemysłowi w Anglii), a majątek ich wynosił przeszło 37 milionów marek [1]).

Obok tego istnieją w Anglii po wielu parafiach związki czeladników i młodocianych robotników z charakterem religijno-wyznaniowym (*young mens clubs*, *young mens societies*) a zwłaszcza także takie związki katolickie. Te ostatnie tworzą się za inicyatywą duchowieństwa katolickiego, które w Anglii pod wpływem nieodżałowanego kardynała Manninga zwróciło gorliwie swą działalność na pole społeczne [2]).

Nadmienię wreszcie, że przemysłowcy samoistni w Anglii do stowarzyszeń i związków robotniczych nie należą, lecz do izb handlowych, które, tworzone dobrowolnie przez kupców i przemysłowców, są tam ich reprezentacyą zawodową. Ustawą nakazanych obowiązkowych organizacyi, czy reprezentacyi zawodowych nie ma w Anglii.

Francya, jak z jednej strony jest kolebką socyalizmu, tak z drugiej krajem *par exellence* praktycznego chrześciańskiego miłosierdzia. To też rozwinęły się tam już oddawna liczne katolickie stowarzyszenia i instytucye, celem wpływania na młodzież przemysłową w duchu religijnym i moralnym i materyalnego jej wspierania, a pod ich opieką potworzyły się związki katolickie czeladników i rzemieślników. Po roku 1840 założono słynną chrześciańską korporacyę robotniczą w Val-des-Bois, a po wojnie z r. 1870/71 hr. Albert de Mun i markiz de la Tour du Pin Chambly, poznawszy jako jeńcy wojenni w Niemczech tamtejsze katolickie związki czeladników, utworzyli znane stowarzyszenie: *Oeuvre des cercles ouvriers* i poczęli zakładać katolickie kółka robotników, które rozszerzyły się po całej Francyi i dziś liczą przeszło 60.000 członków [3]).

---

uposażonych w większe lub mniejsze kapitały i umożliwić robotnikom, czy całym stowarzyszeniom robotniczym branie udziału w spółkach, por. John: Zur englisch-schottischen Genossenschaftsbewegung, str. 361 i n. John: Gewerkverein u. Productivgenossenschaft, str. 283 i n.

[1]) Biermer, j. w. str. 410.

[2]) Brüll art. „Katholisch-sociale Reformbestrebungen" w Handwörterbuch der Staatswissenschaften Conrada i Lexisa. Tom V. str. 756, 757.

[3]) Brüll j. w. str. 755.

Obok tego służą we Francyi, jako organizacya zawodowa przemysłu, t. zw. syndykaty, opierające się obecnie na ustawie z 21. marca 1884 r. Są to związki dobrowolne należących do tegoż samego lub pokrewnego zawodu, związki natury ogólniejszej, bo mogą je tworzyć nietylko przemysłowcy lub robotnicy przemysłowi, lecz i rolnicy i osoby t. zw. zawodów wyzwolonych...

Celem tych związków jest: popierać wykształcenie zawodowe swych członków przez zakładanie bibliotek i szkół fachowych, zapewniać im pracę, ułatwiać nabywanie i zbyt produktów, udzielać kredytu, zaliczek na podróże fachowe, wreszcie ubezpieczać na wypadek niezdolności do pracy, braku tejże, starości.

Syndykaty są albo związkami pracodawców albo robotników, albo mięszanemi. Pierwszych było na dniu 1. lipca 1894 r.: 1.518 o 122.251 członkach; drugich 2.178 z liczbą członków 408.025; syndykatów mięszanych było 177 z ilością członków 29.124. Syndykaty mogą tworzyć większe związki: unie lub federacye. Takich unii było na dniu 1. lipca 1894 r. w całej Francyi 73 [1]).

Syndykaty francuzkie daleko lepiej potrafiłyby odpowiedzieć swoim zadaniom, gdyby nie oddawały się tyle — polityce i agitacyom partyjnym!...

W Niemczech dobrowolne związki robotników, t. zw. *Gewerkveine*, owiane są po większej części duchem socyalno-demokratycznym. Z końcem roku 1894 było w Niemczech związków robotniczych odcienia Hirsch-Dunckera, t. z. nie oddanych socyalizmowi, tylko 1.436 o 67.058 członkach, gdy tymczasem socyalno-demokratycznych związków było już na wiosnę r. 1893: 4.543 o liczbie członków: 241.955. W ogóle należy w Niemczech do związków robotniczych różnego rodzaju przynajmniej 400.000 robotników [2]). Przemysłowcy samoistni tworzą odrębne związki, t. z. *Gewerbevereine*, których jest około 500 w całych Niemczech [3]).

---

[1]) V. d. Osten: Gewerkvereine in Frankreich w Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Tom IV. str. 30—35. Lexis: Gewerkvereine in Frankreich, Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Suppl. B. I. str. 412, 413.

[2]) Adenberg: Gewerkvereine in Deutschland. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Suppl. B. I. str 381—404. Dr. Max Hirsch: Die Entwicklung der Arbeiterberufsvereine in Grossbritanien und Deutschland. Berlin 1896.

[3]) Landgraf: Gewerbevereine. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Tom III. str. 1074—1080.

Nadto rząd niemiecki, celem zbliżenia pracodawców do robotników i złagodzenia kwestyi roboczej, wskrzesił na nowo ustawą z 18. lipca 1881 (zmienioną już odtąd nowelami z r. 1884, 1886 i 1887) organizacyę cechową. Nie nadał jej jednak charakteru przymusowego, lecz należenie do niej pozostawił dobrej woli interesowanych. Fakultatywne cechy te *(Innungen)* — z powodu, zdaje się, wadliwej organizacyi wewnętrznej, mianowicie przekazania im zbyt wiele obowiązków, na które nie mają ani dostatecznych środków pieniężnych, ani odpowiedniego materyału w ludziach — nie wydały wielkich rezultatów. W grudniu r. 1888 było ich w całych Niemczech 10.325 o 316.507 członkach: najwięcej rozwinęły się w Prusach, najmniej w południowych Niemczech, gdzie więcej kwitną wspomniane wprzód: *Gewerbevereine.*

To też rząd niemiecki zamierza w miejsce tych cechów, czy obok nich wprowadzić przymusowe stowarzyszenia zawodowe przemysłowców *(Fachgenossenschaften)* na wzór austryackich [1]).

Obok tych wszystkich organizacyi istnieją w całych Niemczech związki robotników i czeladników z charakterem religijno-wyznaniowym. Zwłaszcza związki katolickie są bardzo liczne i rozwijają się nader pomyślnie. Z początkiem roku 1891 liczył powszechny związek czeladników katolickich, założony przez ś. p. ks. Kolpinga, który rozpościera się i na Austryę a nawet ma filie za granicą 820 związków lokalnych, a liczba jego członków wynosiła około 75.000. Związki te utrzymywały własnym kosztem 190 gospód czeladnych [2]).

W innych krajach Europy, jak w Belgii, Szwajcaryi, Włoszech, nawet Danii, istnieją tylko dobrowolne związki robotników, które mają na celu skupienie ich dla obrony przeciw pracodawcom i uzyskanie korzystniejszych warunków płacy. Niestety, większa część tych związków opanowana jest przez socyalną demokracyę i uprawia politykę... [3])

---

[1]) Stieda: „Innungen" w Handwörterbuch des Staatswissenschaften. Tom IV. str. 586—591. Thilo Hampke: Die Organisation des Handwerks u. die Regelung des Lehrlingswesens. Jahrbücher für Nationalökonomie. Hildebranda 1894, str. 78 i n., str. 565 i n.

[2]) Brüll: Katholische Gesellenvereine. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Tom III. str 837.

[3]) Dr. Ernest Mahaim: Gewerkvereine in Belgien: Herkner: Gewerkvereine in der Schweiz; Lexis: Gewerkvereine in anderen europäischen Ländern. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Tom IV. str. 35 i n.

Jedynie w Stanach Zjednoczonych Ameryki pojmują robotnicy — podobnie jak w Anglii — trzeźwiej zadania organizacyi zawodowej i trzymają się zdala od polityki i agitacyi socyalistycznych. To też związki robotnicze tamtejsze rozwinęły się potężnie, podniosły wysoko moralnie i materalnie stan roboczy, a w r. 1892 liczyły około 900.000 członków. Każdy związek prawie wydaje własne pismo [1]).

Nawet w Australii istnieje organizacya zawodowa przemysłu, polegająca na dobrowolnych stowarzyszeniach, które tworzą z jednej strony robotnicy, z drugiej pracodawcy [2]).

Katolickie związki robotników po Francyi, najwięcej rozpowszechnione są w Belgii, gdzie je zakładają i popierają przewódzcy ruchu socyalno-katolickiego: profesor Helleputte, redaktor Verhagen, Michel Leroi i ks. Pottier. Obok tego jednak istnieją liczne takie związki i w Szwajcaryi, we Włoszech a nawet w Stanach Zjednoczonych Ameryki, gdzie dla ruchu robotniczego wiele zdziałał kardynał Gibbons [3]).

A jakżeż przedstawia się organizacya zawodowa przemysłu w Austryi?

(Dokończenie nastąpi).

Dr. Władysław Pilat.

---

[1]) Sartorius von Waltershausen: Gewerkvereine in den Vereinigten Staaten von Amerika. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Tom IV. str. 42—46; Suppl. B. I. I. str. 413—420.

[2]) Schultze-Gaevernitz: Gewerkvereine in Australien. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. Tom IV. str. 46—49.

[3]) Brüll: Katholisch-sociale Reform Bestrebungen.

KRONIKA LITERACKA.

Turquan: *L'impératrice Joséphine.* — Paris.

„Gwiazdą swego życia" nazywał Napoleon I. przez długi czas Józefinę de Beauharnais, a gdy w późniejszych latach powodzenie go coraz bardziej opuszczało i stworzone przezeń dzieło coraz bardziej rozsypywało się w gruzy, pod którymi i on miał znaleźć swój koniec: wyrzekł raz w chwili przygnębienia słowa: „Józefina miała słuszność; było to mojem nieszczęściem, iż ją opuściłem."

O tej kobiecie, która miała wrzekomo wywierać tak dziwny wpływ na życie i losy niezwykłego człowieka, a która w tem życiu w każdym razie odegrała smutną raczej, niż piękną rolę, pisarz francuski, Józef Turquan, ogłosił właśnie zajmujące dzieło. W pierwszym tomie poświęca swe studya: „generałowej Bonaparte", zajmując się losami Józefiny przed jej zaślubieniem przez Napoleona, a dalej związkiem ich i pożyciem małżeńskiem w pierwszych latach; w drugim zaś przedstawia już „cesarzową Józefinę", późniejsze rozłączenie się z mężem i ostatnie lata — odosobnienia i poniżenia. Dzieło to, napisane gruntownie i oparte na najnowszych źródłach, obala niejedną legendę, która przez dziesiątki lat charakter, umysł i serce Józefiny zdobiła niezasłużenie wielkimi przymiotami; w biografii p. Turquan występuje kobieta, pozbawiona wielkich rysów charakteru i umysłu, nie umiejąca wznieść się nad niski poziom zwykłych kobiecych wad i próżności ani w szczęściu, którego nie umiała ocenić, ani w nieszczęściu, którego nie umiała znosić.

Józefina de Beauharnais, z domu Tascher-Lapagerie, pochodziła z wyspy La Martinique. Trudno dzisiaj oznaczyć rok jej urodzenia, ponieważ czarująca kreolka, wychodząc w d. 9. marca 1796 r. za Bonapartego, skorzystała z niedbalstwa, z jakiem wówczas cywilne akta stanu we Francyi prowadzono, i podała fałszywą datę urodzin, prawdopodobnie o wiele późniejszą od prawdziwej. W każdym razie miała wówczas już więcej, niż 36 lat. Chociaż — jak mówią współcześni —

straciła już była wówczas świeżość młodości, umiała się jednak zawsze jeszcze podobać i podobała się rzeczywiście. Pierwszy jej mąż, generał Beauharnais, poległ w bitwie, pozostawiając jej dwoje dzieci: Eugeniusza i Hortenzyę. — W chwili, gdy Napoleon poznał młodą wdowę, wdzięki jej cenił niejeden, a w szczególności także Barras w głośnych swych, świeżo wydanych pamiętnikach utrzymuje, iż nietylko umiała się także i jemu podobać, lecz także swą miłość mu oddała. Pani Tallien, ówczesna władczyni goniącego za pięknościami członka dyrektoryatu — dlatego często „Madame Directrice“ zwana — mimo, że Barras sprzeniewierzał się jej na rzecz Józefiny, była dla Józefiny z nadzwyczajną przyjaźnią. W jej domu to, w Luksembourgu, wśród tłoku żądnych rozkoszy i — pieniędzy kobiet, poznał Józefinę Napoleon, i za jej to pośrednictwem uproszono u Barrasa naczelną komendę we Włoszech dla Bonapartego. Nie ma wątpliwości, iż Józefina wyszła za Napoleona nie ze skłonności, lecz dlatego, iż pozostawała w bardzo trudnem położeniu materyalnem, a zakochany w niej po uszy, z całą naiwnością młodego człowieka, który spędzając czas na studyach i w obozie, nie mógł poznać kobiet, Napoleon przedstawiał zdolnościami i powodzeniem dobre na przyszłość widoki. Chociaż go zaś przyjaciele i przyjaciółki tych przyjaciół przestrzegali, odrzucił wszystkie napomnienia i — ożenił się.

Zrazu, młodzi małżonkowie żyli po największej części zdala od siebie. Wypadki wojenne wzywały Napoleona raz po raz to do Włoch, to do Egiptu: Józefina tymczasem rzuca się w wir rozrywek i rozkoszy w Paryżu, upajając się powszechnie nadawanym jej tytułem: Nôtre Dame de victoire“. Nie ma nawet czasu odpowiadać na pełne namiętności i tęsknoty listy Napoleona, który napróżno ją wzywa, aby przybyła za nim na plac boju, do obozu. Aby nie opuszczać Paryża, zasłania się przed coraz bardziej natarczywemi nawoływaniami męża stanem, wymagającym ochrony i nie pozwalającym na dalszą podróż. Napoleon wiadomością tą jest tak wzruszony, że sam czem prędzej pospiesza ją powstrzymać od zamiarów podróży, prosi ją o przebaczenie i przesyła jej „tysiące pocałunków tak gorących, jak ty jesteś zimną.“ Potem musi ona sama przyznać, że nadzieja była zwodniczą. Napoleona zarówno to, jak i chłód, okazywany mu przez Józefinę, drażni i czyni zazdrosnym; wreszcie nietylko od swych krewnych, o których wie, że jej nie lubią, ale i od bezstronniejszych osób dowiaduje się o niej i o jej życiu bolesnych dla niego szczegółów; czyni więc jej w listach coraz bardziej ostre wymówki, przeplatając je jeszcze wybuchami namiętności i sentymentów. Józefina nie wiele sobie robi i z drugich i z pierwszych. Charakter jej i cała postać zarysowują się w opowieści Turquan'a coraz — nieprzyjemniej. Napoleon, po powrocie z Egiptu, nie oddaje się

już złudzeniom; wie, że nie był nigdy kochany, lub że przynajmniej dawno nim być przestał. Co gorsza, zna swych szczęśliwych współzawodników, nienawidzi ich — i zadowala się odsuwaniem ich od Józefiny. On, nieustraszony w ogniu i w najcięższych przejściach, jest słabym wobec tej kobiety; nie umie nawet odstraszyć, oddalić od niej wszystkich, którzy zabierają mu jej miłość i namiętność. Porucznika Hipolita Charles wysłał sam Napoleon, jako kuryera z Włoch do Paryża, do swej żony, i ona zatrzymuje go dla siebie, dzieląc się nim tylko — naturalnie w zupełnej nieświadomości — z siostrą Napoleona, Pauliną, późniejszą księżną Borghese. Podobnie było z Muratem, późniejszym królem Neapolu. Napoleon był za słaby dla żony, a przytem miał tę próżność, iż nie chciał odgrywać roli *d'un mari à la Molière*. Uginał się przed Józefiną, ale nie przed jej umysłem, lecz wyłącznie przed powabami ciała. Przeciwnie, zabronił jej jak najsurowiej mięszać się do spraw państwowych, a pewnego razu powiedział nawet: „To samo, że żona radziła mi coś, mogłoby wystarczyć, abym wprost inaczej postąpił.“

Powrót z Egiptu, kiedy to Napoleon przekonał się osobiście o sposobie życia swej żony, zabił w nim miłość ostatecznie. Wówczas także powstała w nim po raz pierwszy myśl rozwodu z żoną, o wiele później dopiero urzeczywistniona. Odtąd staje się szorstkim; właściwe jednak dni krzyżowe Józefiny w pożyciu małżeńskiem rozpoczynają się z chwilą, gdy została cesarzową. Napoleon począł szukać także rozrywek z „pięknemi, łagodnemi i przyjemnemi stworzeniami“, jakiemi — według jego wymagań — musiały być panie, które on darzył swymi względami; jednak tylko w stosunek z panią Walewską włożył nieco uczucia — wszystkie inne traktował chłodno. Niektóre z dam, przez siebie odznaczanych, wybierał wprost z otoczenia swej żony, jak panią Duchâtel, pannę Lacoste, panią Gazzini — a Józefina, która wraz z wiekiem stawała się nietylko coraz otylszą, lecz także coraz bardziej zazdrosną i coraz więcej namiętną, choć męża swego otaczała szpiegami, nie zawsze w czas umiała spostrzedz to, za czem pilnie śledziła. Jednem słowem, sytuacya w pożyciu małżeńskiem zwolna się odwróciła. Sceny zazdrości, łzy i wyrzuty, którymi obsypywała cesarza, nie pomogły jednak nic, podobnie, jak zabiegi jej, by schwycić męża *in flagranti*. W późniejszych latach stała się już więcej zrezygnowaną, lecz i to nie pomogło. Napoleon nie mógł jej wybaczyć doznanego zawodu, a przedewszystkiem nie mógł jej wybaczyć tego, iż nie dała mu dzieci. Więc też wreszcie rozwiódł się z nią.

Po rozwodzie zamieszkała Józefina w Malmaison, które przed laty było widownią jej romantycznych przechadzek z pięknym adjutantem

generała Bonapartego, porucznikiem Hipolitem Charles. Tam przyjmowała liczne wizyty, zwłaszcza kobiet z wyższego świata paryskiego i płakała przed niemi nieustannie. Zwolna uspokoiła się, a ten spokój umysłowy spowodował, że tyła coraz więcej. Zabawiała się zresztą wybornie ze swym małym dworem, a hr. Viel-Castel twierdzi w swych wspomnieniach, że ojciec jego, który był kochankiem Józefiny przed jej wyjściem za Bonapartego, był nim także i po zerwaniu tego związku. Rozrzutność jej nie znała granic. Napoleon wyznaczył jej 3 miliony renty rocznej; prócz tego miała wille i zamki, a cesarz płacił nadto niejednokrotnie jej długi. Mimo to wszystko, wierzyciele po śmierci jej zgłosili jeszcze pretensyj na 2 miliony franków.

Jedyną jaśniejszą wzmiankę zapisała o niej kronika historyczna z czasu, gdy Napoleon został ojcem. Pospieszyła wówczas w słowach, pełnych rezygnacyi, wyrazić życzenia swe cesarzowi a błogosławieństwo królowi Rzymu. Do dobrych jej przymiotów należało i to także, że dla dzieci swych z pierwszego małżeństwa zachowała zawsze najtkliwsze uczucia; pomimo licznych, nie tajnych im błędów matki, otaczały one ją również miłością.

Poufałość natomiast, z jaką car rossyjski i krol pruski, a zwłaszcza pierwszy z nich, obracali się w domu Józefiny, podczas gdy Napoleon był jeńcem na Elbie, nie rzuca pięknego światła na jej charakter. Nie miała nigdy uczucia godności i płaszczyła się później także przed królem z rodu Bourbonów, byle wyżebrać dla dzieci swych tytuły godności.

Umarła w dniu, w którym przyszedł do skutku ostateczny traktat, niszczący na rzecz domu Bourbonów dzieło Napoleona.

Jules Simon: *Quatre portraits: Lamartine. Le cardinal Lavigerie. Ernest Renan. L'empereur Guillaume II., suivis du discours prononcé pour le centenaire de l'Institut.* — Paris, Lévy 1896.

Zmarły niedawno głośny pisarz francuski miał w d. 25. października z. r., z polecenia wszystkich pięciu oddziałów Instytutu francuskiego, mowę na cześć rzekomo setnej rocznicy założenia tego instytutu. Mowa trwała przeszło godzinę. Jules Simon podniósł w niej sam, że wprawdzie rewolucya zniosła formalnie na chwilę francuską akademię królewską, jako wytwór królestwa i dzieło rządów wielkiego kardynała (Richelieux), że jednak trwale obalić jej nie mogła, to też „*L'Institut existe depuis le 25. octobre 1795, mais les académies, qui le composent, remontent à 1635.*“

Julinsz Simon w życiu politycznem i w swoich pracach zawsze pełen życzliwego sądu, pobłażania dla innych i dla siebie, zawsze gładki, elegancki prawie, usiłujący wszystkich utrzymać w dobrem usposobieniu i zabawić, a nigdy nie starający się być samodzielnym, zdecydowanym, odrębnym i wybitnym, typowy *l'homme distingué dans le genre médiocre* — według jego własnego określenia — jest takim również i w zacytowanych wyżej „portretach". Cóż za różnica n. p. między jego mową pochwalną na cześć Lamartine'a a charakterystyką Merimé'a, skreśloną przez Taine'a; między jego portretem kardynała Lavigerie a sylwetami duchownych Sainte Beuve'a; między jego sądem o Renanie, z którym łączyły go bliskie stosunki od r. 1845, t. j. od chwili, gdy Renan zbierał się porzucić seminaryum duchowne w Saint Sulpice, a studyami o Renanie takich n. p. pisarzy francuskich, jak Challemel-Lacour, Vogüe, Deschampes, Séailles, Darmestetter, Boissier i i. O pobycie swoim w charakterze delegata Francyi, na zwołanym przez cesarza Wilhelma II. do Berlina kongresie dla kwestyi socyalnej, pisał już w swoim czasie w *Revue de Paris*, a sprawozdanie to przetłomaczono wówczas — przynajmniej w wyjątkach — prawie na wszystkie cywilizowane języki. Cesarz Wilhelm uczynił na Juliuszu Simonie „wrażenie młodego szlachcica francuskiego z Normandyi. Posiada on ich sympatyczne usposobienie i ich wesołość. Aby jednak wszystko powiedzieć, przyznam, że po za tą ujmującą stroną zewnętrzną zauważyłem jakąś niepewną nutę, która mówi, że nie warto różnić się z nim w zdaniu w sprawach poważnych." Wrażenie to może wywołało, a może tylko wzmocniło ustąpienie żelaznego kanclerza, które rozegrało się prawie w oczach Juliusza Simona. W dodanych do „czterech portretów" artykułach, będących przedrukiem kilku artykułów wstępnych, ogłoszonych we francuskich dziennikach, zwraca się Juliusz Simon przeciw szowinistom francuskim (n. p. artykuły: *Notre escadre aux fêtes de Kiel*, *Le vrai patriotisme*). Swoją drogą kończy te refleksye — hołdem dla cara: *il avait donné la paix à l'univers*...

Jules Claretie de l'Académie française. *La vie à Paris*. — Charpentier 1896.

Claretie, który, jako typ nieśmiertelnej miernoty, wszedł do tej samej Akademii, która zamykała drzwi swoje przed takimi bądź co bądź mocarzami pióra i talentu, jak Flaubert, Gautier lub choćby Zola, ogłosił w przytoczonej książce, zebrane w jedną całość, swe pogadanki feljetonowe, znane z odcinków *Temps'a*, gdzie wychodziły w pewnych odstępach czasu, podpisane pseudonimem wolterowskiego Candide'a. Chara-

kteryzuje je przedewszystsiem — gadulstwo. Claretie znał Dumasa syna, Gounoda, Vacqueri'ego, Taine'a i inne znakomitości francuskie ostatnich czasów; to jednak, co o nich umie powiedzieć, jest albo równie mierne, jak długi szereg jego dzieł i powieści, albo też równie nieprawdopodobne, jak n. p. następna anegotka: *Taine dans ses conversations intimes prétendait, qu'il avait trouvé le secret de tous les drames de la Révolution française. Il venait d'en découvrir à n'en pas douter le grand impressario. L'homme, qui avait tout fait, le régisseur de la grande tragédie, c'était Laclos, l'auteur des Liaisons dangereuses.* (Str. 335).

Vicomte Melchior de Vogüé: *Devant le siècle.* — Paris, Colin 1896.

Jestto szereg portretów literackich lub nekrologów poprzednio w *Revue des deux mondes* lub w *Journal des Débats* drukowanych. Znajdujemy tu sylwetki i charakterystyki pp.: Heredia, Canrobert, Pasteur, Montégut, Ney, d'Antraigues, Lareveillère-Lépeaux, księżnej de Broglie i i., kreślone wiernie, w ogóle sprawiedliwie, czasem tylko z pewną przesadą lub pogonią za efektami. Znajdujemy tu także ogłoszony naprzód (w marcu r. 1893) w *Débatach* nekrolog Taine'a, nie wolny od przesady, ale przedstawiający zarówno znakomitego pisarza, jak i autora nekrologu, w świetle prawdziwem, dodatniem.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.